

# WSPOMNIENIA MOJEGO OJCA

ZOŁNIERZA DZIEWIĄTEGO PUŁKU  
KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO



# WSPOMNIENIA MOJEGO OJCA

## ŻOŁNIERZA DZIEWIĄTEGO PUŁKU KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO

Według ustnego opowiadania spisane

przez

**Ks. J. DALEKIEGO**

*O Francyjo...*

*Wspomnij ... oni to waleczną swą sprawą*

*Z ostatniej nieraz wyrwali cię toni.*

*Ach! któż policzy przez lat szereg długi*

*Oddane tobie przez Polskę usługi?*

*Gdzie zmarzły biegun, strefy płomieniste,*

*Tagus, Ren, Tyber toczą swe potoki,*

*Gdzie strony Wolgi, bory jej cieniste,*

*Gdzie szczyt gmachów egipskich przebija obłoki,*

*Walczących za cię, sępom zostawione,*

*Sterczą Polaków kości rozrzucone...*

**GRABONÓG**

1991

Rada Wydawnicza: Robert Czub, Stefan Jankowiak, Marek Klupś, Krzysztof Maćkowiak (sekretarz), Stanisław Sroka (przewodniczący).

Przypisy zredagował: Robert Czub.

Projekt okładki: Henryk Naglak.

Redaktor techniczny: Lech Załoba.

Korekta: zespół.

Wydawca: Muzeum Edmunda Bojanowskiego w Grabonogu.

Wydawnictwo ukazuje się przy wsparciu finansowym Wydziału Spraw Społecznych Urzędu Wojewódzkiego w Lesznie.

## OD WYDAWCY

Wiek XIX przyniósł dwa wydania pamiętników chłopów - żołnierzy rodem z ziemi gostyńskiej - Andrzeja Dalekiego z Kołaczkowic<sup>1</sup> oraz Ignacego Drygasa z Zimnowody. Osiem lat temu prof. Stanisław Helsztyński podarował mikrofilm pierwszego z nich p. mgr. Stefanowi Jankowiakowi—historykowi, byłemu kustoszowi Muzeum w Gostyniu—urodzonemu nota bene, jak Andrzej Daleki, także w Kołaczkowicach (w rodzinie nauczycielskiej). Tenże przekazał niebawem go w darze do zbiorów Muzeum im. Edmunda Bojanowskiego w Grabonogu. Od tej pory istniał projekt kolejnej reedycji tego niezwykle interesującego tekstu.

Pamiętniki Dalekiego spisywano dwukrotnie. Pierwsza ich postać została utrwalona przez Szymona Baranowskiego<sup>2</sup> z Chociszewic (obecnie Pępowo) w latach 1850-1856. Jędrzej Daleki był wówczas stróżem chociszewskiego majątku. Książka nosiła tytuł „Przygody starego żołnierza z dziewiątego pułku Księstwa Warszawskiego” i zadedykowana została księciu Augustowi Sułkowskiemu. Wersja Baranowskiego ukazała się drukiem w Lipsku (1857). Wznowiona została, z dużym powodzeniem, w Brukseli (1867).

Na tym nie kończy się jednak kariera interesujących nas opowieści. W roku 1864 po raz wtóry pamiętnik wiarusa z Kołaczkowic literacko opracował jego syn, ksiądz Jakub Daleki<sup>3</sup>. Ukazał się on tym razem w Poznaniu i nosił tytuł „Wspomnienia mego ojca, żołnierza dziewiątego pułku Księstwa Warszawskiego, według ustnego opowiadania spisane przez ks. Jakuba Dalekiego”. I to wydanie doczekało się wznowień; najpierw w Poznaniu (1887, 1903), a potem w Nowym Mieście na Pomorzu (1929). Jest znacznie obszerniejsze od pierwodruku pióra Baranowskiego. Cechuje je barwniejszy styl i język<sup>4</sup>. Ono też stało się podstawą niniejszej reedycji.

<sup>1</sup> Andrzej (Jędrzej) Daleki-chłop, ur. w 1783 r. we wsi Kołaczkowice (płd.-zach. Wielkopolska), zmarł w Parkowie k. Obornik Wlkp. w roku 1870. Kołaczkowice należały pod względem administracyjnym w okresie zaborów pruskich najpierw do powiatu krobkiego (w czasach Księstwa Warszawskiego do podprefektury krobkiej), a od roku 1887 do powiatu gostyńskiego.

<sup>2</sup> Szymon Baranowski—pisarz, poeta, tłumacz poezji Catulla oraz Propetriusa Saktusa wydanych we Wrocławiu w 1839 r. Tłumacz powiastek niemieckich dla dzieci Christopha Schmida (Leszno 1849).

<sup>3</sup> Ks. Jakub Daleki—wikariusz archikatedry w Poznaniu w 1861 r., a od 1863 proboszcz w Parkowie koło Rogoźna pow. obornicki. Ks. Daleki wstawił się tym, że

## PRZEDMOWA

Szcątki Wielkiej Armii znikają powoli sprzed oczu naszych. Przechować potomności czyny jej bohaterów zadaniem jest współczesnych. Jeśli zaś wawrzyny owych ubiegłych czasów sławy wieńczą skronie wiekiem już zgrzybiałego ojca, świętym jest obowiązkiem dzieci zachować w upominku jego trudy, walki i zwycięstwa, by z nim razem nie zstąpiły do grobu.

Tą myślą powodowany, a zarazem ulegając licznym życzeniom przyjaciół i znajomych, tak własnych, jak i ojca, zabrałem się do skreślenia powtórnego wspomnień mojego rodzica, które po raz pierwszy zaczął mój przyjaciel, pan Baranowski, zebrał był i wydał w roku 1857 w Lipsku, a które w krótkim czasie rozebrano.

Zamiarem moim przy niniejszym wydaniu było uczynić dziełko to popularnem, aby mogło znaleźć przystęp do wzrastających dziś a tyle ważnych biblioteczek ludowych. W tym celu zebrałem jak najwierniej wszystkie wypadki ważniejsze, tak w pierwszym wydaniu umieszczone, jak i zdarzenia w temże pominięte, i odaję je zupełnie wiernie według ustnego opowiadania, a pracę całą poświęcam rodzeństwu, jako drogą pamiątkę i spuściznę; rodakom, jako liść skromny do wieńca narodowych cierpień i narodowej sławy. Pisałem w Parkowie, dnia 5 września 1863 r.

AUTOR

idąc za nauczaniem arcybiskupa H. Ledóchowskiego wystosował w 1871 r. (lata kulturkampfu) petycję do parlamentu pruskiego w imieniu swoim i parafian, aby rząd pruski spowodował przywrócenie władzy papieżowi, odebranej mu w wyniku zajęcia Rzymu w 1870 r. przez wojska zjednoczonego Księstwa Włoch. (Stanisław Karwowski, *Historia Wielkiego Księstwa Poznańskiego*, tom II, Poznań 1919).

<sup>4</sup>. Poniższe wydanie interesujących nas wspomnień nawłazuje w zasadniczym kształcie do ortografii pierwodruku. Modernizacji ulegają jedynie wybrane jej zasady (na przykład łącznego i rozłącznego pisania, pisownia przedrostka z-II s.-itd.). Zachowujemy przy tym pierwotne formy fleksyjne oraz oryginalną pisownię „y”. Przeredagowaniu i przystosowaniu do potrzeb dzisiejszego czytelnika poddane zostały natomiast przypisy. Zmieniona została zarówno ich ilość, jak i rozmieszczenie.

## I.

### Pobór do wojska



Była to jesień - roku nie pamiętam<sup>1</sup> - noc ciemna, wicher szumiał, gdy nagle otwierają się drzwi i słyszę głos: „Jędrzeju, wstawaj i chodź”. - Dokąd? o północy? - Wtem chwytą mnie trzech mężczyzn. Wstaję więc czem prędzej, wychodzę na dwór i widzę, iż sołtys z Dłoni<sup>2</sup>, włódarz i ojczym mój - Panie świeć nad duszą jego - stają tuż przy mnie i za sobą iść każą. Strach mnie wziął, bo nie mogłem się domyśleć, co się ze mną dziać będzie. Im dalej idę, tem bardziej serce mi poczyna tętnić. - „W Imię Ojca i Syna, i Ducha św. ”, żegnając się wreszcie, idąc przez wieś Rogożewo, bo w tej wsi pod Jutrosinem służyłem, i odmawiam sobie po cichu a pobożnie: „Kto się w opiekę”, „Pod Twoją obronę” i pacierz i com tylko na pamięć umiał.

Wtem wprowadzają mnie do karczmy. Wchodzę, patrzę, a tu siedzi za stołem znajomy mój, Gieldek, parobek jak drag, i płacze. Śmiech mnie porwał na widok tego zucha płaczącego.

— Cóż ty płaczesz? zapytałem go z wielkim zdziwieniem i na pół ze śmiechem.

---

<sup>1</sup> 1806 r; Żołnierskie losy A. Dalekiego w latach 1806-1813 w szczególach nie są możliwe do zweryfikowania. Odnośnie dziejów wojska polskiego z okresu Księstwa Warszawskiego zob. liczne źródła drukowane i opracowania — najbardziej przydatne jako lektura dodatkowa do tekstu interesujących nas wspomnień są: Kozłowski Adam: Historia 1-go potem 9-go Pułku Wielkiego Księstwa Warszawskiego napisana przez ... kapitana grenadierów ... Poznań 1887; Chłapowski Dezydery: Pamiętniki, cz. I Wojny napoleońskiej 1806-1813. Poznań 1899; Gembarzewski Bronisław: Wojsko polskie. Księstwo Warszawskie 1807-1814, Warszawa 1912; (Przyborowski Walery) Sulima Zygmunt (pseud): Polacy w Hiszpanii (1808-1812), Warszawa 1888; Staszewski Janusz: Wojsko polskie na Pomorzu w roku 1807, Gdańsk 1958.

<sup>2</sup> Dłóń (dawniej Dłonie) — wieś w płd.-zach. Wielkopolsce, w ówczesnym powiecie krobskim, 3 km na płd.-zach. od Kołaczkowic — rodzinnej miejscowości A. Dalekiego. W pobliżu Dłoni leży folwark Rogożewo oraz miasteczko Jutrosin.

— O! płaczę i ubolewam sobie, bo nie wiem, czy jeszcze kiedy przed śmiercią zobaczę swoich. Biorą mnie bowiem do wojska i mam iść na jakąś wielką wojnę.

Poznałem teraz, co się ze mną dzieje, że mnie zabrali do wojska. Smutno mi się zrobiło w duszy, ale wnet zawołałem:

— To będziemy bili, bo nam to Pan Bóg nie dał siły?

Za chwil kilka ruszyliśmy w drogę mimo ciemnej nocy. Ojczym mój, sołtys i wódzarz jechali konno z boków, a my zabrani szliśmy w środku między nimi.

Gdyśmy już byli spory kawałek drogi za wsią, szepnąłem do ucha Giędkowi:

— Zrzućmy ich na ziemię, a sami dosiądźmy koni i uciekajmy. Ale że mnie nie godzi się ojczyma zrzucać, ty go więc zrzuć, a ja wódzarza, a sołtys stary nas nie dogoni.

Zrobiliśmy tak i nuż uciekać, aż ziemia święta pod nogami nam stękała. Powstał za nami krzyk, wołanie, aleśmy się w mgnieniu oka tak daleko posunęli, że przy wicherze mocnym nic już nie było słychać.

— Na próżno nasza ucieczka, mówiliśmy sobie, prędzej czy później schwycą nas jednak i wezmą do wojska. Stańmy więc, czekajmy, niech się dzieje wola Boża nad nami. Będzie Bóg chciał, to zginiemy na wojnie; prosimy Go tylko, abyśmy bez księdza i bez spowiedzi świętej nie zginęli.

Zaczekaliśmy za naszymi przywódcami, a gdy nas dobiegli, pozwoliliśmy im wsiąść znowu na konie, i tak nas wprowadzili do Dłoni. Przenocowaliśmy tu w mielcuchu. Gdy zaświtało, pobiegłem czem prędzej pożegnać się z matką i prosić ją o błogosławieństwo ostatnie, bo mi się tak ciągle zdawało, że już na śmierć idę. Nie mogło się od żalu utulić kochane matczyisko; przeżegnała mnie święconą wodą, uściskała i zaczęła płakać nade mną, mówiąc:

— Idź z Bogiem, dziecko, już cię pewno na ziemi nie ujrzę, ale, gdziekolwiek będziesz, pamiętaj o Bogu, a dobrze ci będzie.

Tymczasem nasprawdzano nocy ubiegłej i nad ranem jeszcze wielu innych z rozmaitych stron; zamknięto ich także w owym mielcuchu przez dzień, a gdy noc nadeszła, odprowadzono nas wszystkich do Rawicza.

## II.

### Wojna z Prusami i Moskwą



W Rawiczu zebrano nas około stu chłopów i oddano pod komendę kapitana Żychlińskiego, dziedzica dóbr Zaborowa. Stary to był Polak, siwy jak gołąbek, ale ostry, jak na żołnierza przystoi. Śmiesznać to była ta kompania nasza rawicka, bo to jeden miał czapkę siwą z wstążkami, inny wykrawankę, ale porządek był dobry. Wyćwiczywszy się nieco w Rawiczu przez niespełna sześć tygodni w maszerowaniu, nabijaniu i strzelaniu, poszliśmy do Poznania. Tu odebrali nas Francuzi, którzy, pobiwszy Prusaków pod Jeną, stali się panami państwa pruskiego i zaraz też wezwali Polaków do powstania.

Nigdy nie zapomnę zdarzenia, jakie się stało w moich oczach zaraz pierwszego wieczora w Poznaniu. Dano mnie na kwatery z dwoma Francuzami. Jeden z nich okrutnie się czegoś gniewał, ale nie wiem czego, bo wtenczas nic jeszcze po francusku nie rozumiałem. W złości porwał chleb i rzucił na krzyż, stojący na stole. Dreszcz mnie przeszedł na widok takiej bezbożności. Poczciwy księżyk, który tam był właśnie obecny, poszedł natychmiast ze skargą do starszych, i jeszcze tego wieczora wykwaterowano obydwóch Francuzów.

Ale i Bóg skarał tego bezbożnika, bo na własne oczy widziałem jak pod Tczewem pierwsza kula nieprzyjacielska na miejscu go zabiła.

W dwa dni po przybyciu do Poznania dali nam ostre ładunki, ubrali jak mogli i wykomenderowali do transportowania zabranych pruskich i rosyjskich żołnierzy do Berlina, gdzie już też byli Francuzi. Było nas pięćdziesiąt piechoty, woltżyerów, i pięćdziesiąt konnicy, szwoleżarami zwanej, a jeńców bez broni było około trzystu chłopów. Prowadziliśmy ich na Bytyń, Pniewy, Międzyrzecz i Cieleńsko. Za Cieleńkiem zabiegli nam drogę Prusacy, którzy jeszcze w Kistrzynie się bronili. Przepalkowski, na którego pogrzebie byłem w Poznaniu, a który wówczas jako porucznik komenderował nami, odegnał konnicą naszą zabiegających nam drogę. My piechota tym-

czasem oparliśmy broń o ziemię i stoimy, czekając, aż nasza konnica wróci. Nagle zaczynają nasi jeńcy rznąć sobie kije grube w lesie, przez któryśmy właśnie przechodzili.

Nie wiedzieliśmy co to znaczy, bośmy jeszcze wszyscy byli głupi. Na szczęście przybywa Przepalkowski i woła: „Dzieci, czy to w was krwi nie ma?”

Dopierośmy poznali, na co miały być te kije, jak zaczniemy strzelać do nich, to jak muchy padali. Ale że złożyli kije i prosili o pardon, daliśmy im pokój; wszelako o głodzie i chłodzie prowadziliśmy ich teraz na Frankfurt nad Odrą do Berlina, gdzieśmy ich oddali Francuzom.

Z Berlina wróciliśmy znów do Poznania, a stąd wkrótce ruszyliśmy pod Grudziądz. Tu z fortecy wypadli Prusacy i zmusili do odwrotu, bo jeszcze było nas mało i świeży to był po większej części żołnierz, a nawet nie mieliśmy jeszcze ładownic, tylko kieszonki na piersiach przy mundurze do ładunków. Trzy mile cofaliśmy się na powrót ku Poznaniowi. Przybyło nam jednak dużo Polaków i Francuzów na pomoc i zaczęliśmy na nowo prażyć ogniem nieprzyjaciela i to tak, że zmiatał, aż się błoto za nim kurzyło.

Potem ruszyliśmy pod Tczewo. Komenderował nami generał Dąbrowski, co przyszedł był z Włoch. Syn jego był pod nim pułkownikiem, czy podpułkownikiem, dobrze już nie pamiętam. Kapitanem naszym był Jasielski, rodem z Borku, który z nami odtąd był ciągle, aż zginął jako podpułkownik w Hiszpanii, w bitwie pod Rondo.

Nasz batalion składał się z ośmiu kompanii, to jest z pierwszej, drugiej, trzeciej, czwartej i piątej kompanii fizylierów, jednej kompanii grenadyjerów i z kompanii wołtyżerów, czyli strzelców, do których ja należałem. Ubiór nasz stanowił: granatowy mundur z białymi wyłogami i guzikami, z kołnierzem czerwonym, czapka czworograniasta stojąca granatowa, z sznurami białymi i kokardą polską na przodzie; spodnie granatowe z wypustkami zielonemi i kamasze.

W Tczewie Prusacy tego się bronili, aleśmy ich jednak zmogli. Ja pierwszy raz wtenczas szedłem w bój porządny. Nogi pode mną drżały, duszy nie czułem prawie w ciele, gdy nam strzelcom dano znak do tyralierki. Ale ledwom raz wystrzelił i zobaczył, że kulki świstają, a żadna mnie nie trafia, pomyślałem sobie: „chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi”; proch mnie obszedł, strach minął i odtąd nie bałem się już nigdy, gdyśmy bitwę zaczynali.

Jeszcze wieczór nie nadszedł, a już Prusacy co żywo uciekali ku Gdańskowi, a na Wiśle pod Tczewem widać było pływające kape-lusze stósowne i warkocze. Bośmy ich też wtenczas niemało położyli trupem i niemało nagnali do rzeki; ale i naszych też dużo zginęło. Sam nasz generał Dąbrowski został rannym w nogę, a syn jego w rękę.

Spod Tczewa pędziliśmy nieprzyjaciela przed sobą, aż się zamknął w Gdańsku. Tu stanęliśmy obozem i przez dwanaście niedziel podkopywaliśmy się coraz bliżej pod miasto. Nieprzyjaciele głównie nam szkodzili z samego miasta i cytadel, które były na Biskupiej Górze, na Gradowej Górze i przy ujściu Wisły. Staraliśmy się odebrać im którą z tych warowni. My Polacy mieliśmy obóz i szańce naprzeciw Biskupiej Góry. Nie mogąc odebrać żadnej cytadeli, chcieliśmy nieprzyjacielowi nie dopuścić żywności. A że żywności najwięcej odbierał od strony morza, więc postanowili starsi nasi odebrać mu wyspę, na której samych tylko widziałem Moskali.

Przed wieczorem dnia jednego wywołano nas przed obóz i za-pytano, kto by chciał iść na ochotnika. Nie wiedzieliśmy dokąd pój-dziemy, myśleliśmy, że na wieś, gdzie się pokrzepimy, bo nas pod Gdańskiem biednie żywiono, zgłosiłem się przeto i pięciu innych z naszej kompanii. Tymczasem nadchodzi noc, a tu każą nam iść na brzeg rzeki i siadać do łódki. Jedziemy po owej rzece, a nie dadzą nam prawie ani oddychać, a broń Boże, żeby który z nas był miał zakaszleć. Przy płynęliśmy na brzeg wyspy. Dopiero nam starsi po-wiadają, że tu trzeba zwyciężyć albo zginąć, bo do tej wyspy do-wożą nieprzyjacielowi Anglicy żywność. Trzeba ją wziąć, a głodem umorzemy nieprzyjaciela.

Jesteśmy na wyspie, naokoło nas woda: innego ratunku nie ma dla nas, tylko zginąć lub zwyciężyć. Do dziś brzmią mi jeszcze w uszach te słowa i do sądnego dnia o nich nie zapomnę!

Moskale obchodzili byli właśnie jakiś bankiet tej samej nocy. Napadliśmy ich niespodziewanie i jak zaczęliśmy strzelać, żgać ba-gnetami, topić, to aż skóra na mnie drży, gdy wspomnę tę chwilę. Co zostało przy życiu nieprzyjaciół, łódkami przewieźliśmy do swoich w niewolę, a Francuzów zostawiliśmy na tej wyspie<sup>8</sup> załogą. W sam dzień Bożego Ciała dobyliśmy nareszcie Gdańska i weszliśmy do

<sup>8</sup> Była to niezawodnie wyspa Holm, którą w roku 1807 przy oblężeniu Gdańska w nocy z dnia 7-go na 8-my maj odebrano.

miasta<sup>4</sup>. Ja, choć kulawy, bo ranny w nogę, szedłem za drugimi w tej nadziei, że się czem pokrzepię, bo pod Gdańskiem bieda nam była wielka. Ciągłe bowiem trzeba było pod gradem kul i pod gołem niebem przebywać.

Pewnego razu wypadli Prusacy w nocy i chcieli nas ze szaniców wypędzić. Ale że ciemno było, wpadli więc w nasze rowy, w których czuwaliśmy, jeden obok drugiego stojąc. Dostawszy się tak w naszą łapkę, drogo przypłacili swą śmiałość.

To oblężenie Gdańska było krwawe, bo nie tylko że trzeba było ciągle się ucierać z nieprzyjacielem, ale jeszcze pracować.

Kopaliśmy ustawicznie rowy, sypaliśmy wały, a coraz bliżej miasta. Dnia jednego byłem daleko od obozu przy kopaniu rowów z kilkoma Polakami. W takim razie przynoszono nam obiad, lecz w on dzień, czy zapomnieli o nas, czy też zjedli nasze porcyje - dość, że go nam nie przynieśli. Na wieczór przychodzimy do obozu spracowani, pytamy, gdzie nasz obiad, ale dopytać się nie możemy. Zgłodniały, idę za obóz szukać w pobliskiej wsi co do zjedzenia.

Na nieszczęście wpadłem w rów, pełen śniegu aż pod gardło. Jużem myślał, że w nim zostanę, ale się przecież wydobyłem i tyłem skorzystał, że mi się już jeść odechciało.

Pod Gdańskiem przez długi czas dostawaliśmy na dzień tylko kawałek chleba, ani nie kwaterkę kaszy lub grochu i mięsa na dwa razy w usta. Czasem mi się tak jeść chciało, żem liście, które na wiosnę z głąbów kapuścianych puszczały, zbierał, gotował i jadł<sup>5</sup>. Drogość zaś była tak wielka, że za kieliszek wódki dwa złote polskie płacono.

Razu pewnego kazano mi naprawiać nadpsuty szaniec. Stojąc na nim tyłem do miasta, robię sobie spokojnie, co mi się należało, wtem Prusak wziął mnie widać na cel, bo jak palnął, to aż kozła przewróciłem w rów. Zdrętwiałem prawie ze strachu, leżąc w onym rowie, bo nie wiedziałem, czy rękę, czy nogę straciłem. Wołam wreszcie na towarzyszków w bliskości pracujących. Przybiegli, podnieśli mnie, i dopierom się ucieszył, gdym ujrzał, że mi tylko mocno piętę u nogi zranił. Była to pierwsza rana w wojnie odebrana, ale chociażem ich później więcej odebrał, żadna mnie tak nie bolała,

<sup>4</sup> Dnia 26 maja 1807 r

<sup>5</sup> Według A. Thiersa (Historia Konsulatu Cesarstwa, t. VII, s. 190) Polaków pod Gdańskiem w 1807 r. dobrze żywiono, ale byli oni mało pomocni Francuzom. Informacja Dalekiego jest tutaj zgoła odmienna.

jak ta. Będąc rannym, cieszyłem się po wzięciu Gdańska, w którym było dość zboża, wina i innych rzeczy, że przecież spokojnie się wygoję i wypocznę. Ale w Gdańsku zaledwie trochę wina dostałem od jednego z żołnierzy. Po dwudziestu czterech godzinach bowiem, które chory przeleżałem, wyszliśmy znowu do obozu, a po trzech dniach ruszyliśmy pod Frydland<sup>6</sup>. Smutny to był marsz. Gdziekolwiek przyśliśmy, widzimy tylko sterczące okopcone kominy, zgorzeleliska, opalone drzewa i sady całe, które co dopiero zielenić się począły. Byli to Prusacy i Moskale, co tak przed nami wszystko palili. Na dwanaście mil nie widzieliśmy ani jednej porządnej wsi, tylko same zgliszcza. To też głód dokuczał nam taki, że czego bym dziś w życiu nie jadł, wówczas za miód zjadłem, to jest końskie mięso, a nawet kota gotowanego, którego kawałek dali mi Francuzi. Bo Francuzi gdzie tylko mogli, nawet w Hiszpanii, gdzie biedy nie było, chwyтали koty i jedli. Ale mnie aż dziś jeszcze przykro, gdy przypomnę sobie kocią potrawę. Pamiętam, że jednego dnia we wsi z głodu urwałem sobie wiśni, które co dopiero zawieszować się począły i wstawiłem je na kwaterze w garnku do ognia, a tu kobieta niepocziwa przypadła, plew mi weń rzuciła i uciekła. Było to jej szczęście, żem jej nie dostał.

Jedyną pociechą dla nas w tej biedzie był nasz kochany generał Dąbrowski. Pamiętam dobrze, było to rano, może jeszcze ze trzy marsze do Frydlandu. Chłodno i głodno idziemy smutni. Wtem generał Dąbrowski konno, ze zawiniętą nogą, bo mu się jeszcze nie była rana zagoiła, wyjeżdża między nasze szeregi i zaczyna śpiewać:

*Dalej, dzieci, dalej żywo,  
Otwiera się dla nas żniwo:  
Marsz, marsz Polacy,  
Nie żałujcie pracy!*

Był z nami i drugi polski generał, Zajączek, ale nie tak lubiany.

Przysliśmy wreszcie pod Frydland. Bitwa rozpoczęła się czterdnastego czerwca (1807-go roku), a była krwawa. Dwa dni trwał bój tak okropny, że człowiek od huku nieledwie ogłuchł. Zwyciężyliśmy jednak i nabili nieprzyjaciela niemało, choć naszych dużo też legło.

<sup>6</sup> Frydland (w Prusach Wschodnich) - obecnie miasto Prowdińsk w ZSRR.



### III.

#### Rewia na Błoniu pod Warszawą i marsz do Paryża i Hiszpanii.



Po świetnem zwycięstwie pod Frydlandem, udaliśmy się do Błonia pod Warszawą. Zeszła się tu wielka liczba wojska. Była dywizya polska Dąbrowskiego, Zajączka i kilka dywizyi francuskich. Nazjeżdżało się nadto szlachty polskiej dużo. Aż miło było spojrzeć, ile to Polska miała wtenczas jeszcze bogatych panów i dzielnych rycerzy.

Serce się śmiało, gdyśmy widzieli, jak Francuzi nadszkwali Polakom, jakie im robili honory, a Polacy nawzajem, jak gościnnie podejmowali starszyzną francuską. Na błoniach rozłożyło się całe wojsko, wesołe, bośmy wracali ze zwycięstw.

Rano, około ósmej godziny, dnia pięknego zabrzmiała muzyka, odezwały się trąbki polowe i zaczęła się wielka rewia. To harcowała konnica z konnicą, to uderzała konnica na piechotę, to strzelcy rozspypywali się w tyraliery, to znów skupiali się, to ułani polscy defilowali, a wszystko chłopcy jak świece. Marsz wspaniały wszystkich dywizyi przy odgłosie hucznej muzyki, zakończył rewie.

Po rewii wracaliśmy na święty Michał do Poznania, gdzieśmy trzy ćwierci roku zabawili. W drodze z powrotem stanęliśmy raz na odpoczynek w mieście Warcie. Dostałem kwaterę u żyda. Ten dał mi na śniadanie na brudnej łyżce tak brzydkiego masła, że nie-miło mi o niem wspomnieć.

— Komuś to dał, żydzie? mówię do niego.

— Nu! żołnierzowi! Ja go chlast łyżką w twarz, tak że całe masło zostało mu na brodzie.

Żyd, rozgniewany, zaczął mnie i wojsko wyzywać.

Mało myśląc, porwałem żyda, uderzyłem o ziemię i nuże go pła-zować. Wtem wybiega z komory drugi żyd, młody, schwycił mnie z tyłu za kołnierz tak, że mi oczy prawie na wierzch wyszły. Do-bywszy wszystkich sił, wydarłem się obydwom i nakładłem im, że jeszcze dziś pamiętają, jeżeli żyją.

Żyd poszedł na mnie ze skargą, ale warta, przed naszym jenerałem stojąca, wykolbowała go dobrze i nie wpuściła. Wrócił żyd, a ja patrzałem na wszystko.

— Cóż ci powiedzieli, żydzie? mówię do niego.

— Nu! żebym panu dał jeść!

— Żydzie, wołałem na niego, jak mi teraz nie ugotujesz wieprzowiny, to cię uśmiercę.

— Nu! ja dam koszernego mięsa!

— Nie, żydzie, gotuj świnię albo trupem cię położę! i wtem celuję sztucerem do niego. Już żyd posyłał po wieprzowinę, alem się udobruchał i przyjął inne piękne mięso. Najadłszy się, wyszedłem; wychodząc, mówię do żyda:

— Żydzie, tu wisi mój tornister, jak mi co zginie, to cię żywego powieszę. Usiadł więc żyd za stołem, patrzył ciągle na tornister jak w tuza. Ja zaś z towarzyszami, śmiejąc się, przechodziliśmy mimo okna.

Takie to miałem zajście z owym żydem. Byłem wtenczas młody i towarzysze moi młodzi, to zwyczajnie, jak młodym, pustota była w głowie i mieliśmy w tem uciechę, żeby żyda wybić i wystraszyć. Ale dziś przyznaję się, że źle uczyniłem, pastwiąc się nad onym żydem. Boć przecież i on stworzenie Boskie a do tego był to już człowiek stary, więc tem większa moja wina, że ja, młokos, nad nim się znęcał. Ale to tak już na wojnie bywa, że nieraz żołnierz myśli, iż mając broń w rękę, wszystko mu wolno. Lecz na wojnie te same są przykazania Boskie, co i w innym czasie, i co grzechem w czasie spokojnym, jest grzechem i na wojnie.

Przybywszy do Poznania, miałem najpierw kwaterę na św. Marcynie, potem za św. Wojciechem, u jakiejś poczciwej wdowy Kleczewskiej, później na Chwaliszewie, ale najlepiej pamiętam kwaterę na Wrocławskiej ulicy u jakiejś porządnej pani. Ledwo co byłem zeszedł z warty, przybywam późno we wieczór na kwaterę, zmęczony i zgłodniały, a owa pani prosi mnie bardzo mile, żebym usiadł, rozmawia i wypytuje mię o wszystko. Ja chętnie odpowiadam, dopóki widzę, że na kominie się warzy. Lecz gdy się to uwarzyło, a ja nic nie dostałem, nie chciało mi się dalej rozmawiać. W dodatku pani pyta mnie, czy nie mam co do gotowania, bo to już późno we wieczór.

— Mogłaś mnie się prędzej zapytać o to, moja pani, rzekłem rozgniewany, kiedyś taka skapa, że zgłodniałemu łyżki strawy za-

łujesz. Ja przez dobroć nic nie mówiłem, ale kiedyś taka, to jeszcze dziś musisz mi gotować groch z mięsem, a jak mi nie ugotujesz, to ci pokażę, co to żołnierz! Ugotowała więc służąca jej wszystko jak najlepiej, a nawet sama pani krzątała się koło komina, żeby jak najprędzej było gotowe.

Stałem także jednego wieczora na warcie przy moście Chwali-szewskim. Mieliśmy rozkaz niewpuszczania po ósmej godzinie wieczorem nikogo przez most bez latarki. Po dziesiątej godzinie nikogo nie było wolno ani z latarką przepuścić. Już było po godzinie dziesiątej, ciemno i cicho, a ktoś zdążył obok mnie ku mostowi.

— Kto tam? wołam. Nikt się nie odzywa.

— Kto tam? wołam drugi raz.

— Puść mnie żołnierz przez most, dam ci dwa złote, bo mam pilny interes, odezwał się nieznajomy i położył dwa złote na drzewie przy moście leżącym, chcąc gwałtem przejść.

— Nie mogę cię puścić, choćbyś był moim rodzonym bratem.

A on gwałtem wdziera się na most. Cierpliwość mię opuściła, jak go uderzę kolbą w bok, aż się nieborak położył.

— Stój, daj spokój! odrzekł nieznajomy, bo nie wiesz kogo bijesz!

— Nie wiem, odpowiedziałem, ale taki mam rozkaz, więc go pełnić muszę.

— Jestem podpułkownik Straszewski, alboż mnie to nie znasz? Za ten bizon, coś mi dał, jutro odpowiesz!

Poznałem go, prawda, to on; co to jutro ze mną będzie! Ale ja tylko wypełniłem rozkaz. Takie myśli wiły mi się po głowie przez całą noc; chciałem je od siebie oddalić, ale one jak mara cisnęły się do głowy.

Nazajutrz zapowiadają nam paradę i podczas niej wołają przed front wszystkich żołnierzy, którzy dnia poprzedniego po godzinie dziesiątej stali na strażach. Występuję i ja, ale mi nogi drżą jak osowe liście, a serce bije jak młot we mnie.

— Kto stał wczoraj o tej a o tej godzinie przy moście Chwali-szewskim? pyta się podpułkownik Straszewski.

— Ja, odrzekłem. Ale mi prawie tchu brakło do wymówienia tego jednego słówka.

— Słuchajcie wszyscy, zawołał głośno podpułkownik, co mi zrobił wczoraj Daleki; kolbą mnie uderzył tak, że mi się na ziemię potoczył. Na co zasłużył? oszczędźcie sami.

Słucham, co kto powie, ale nikt się nie odezwał. Wtem pułkownik sam rzecze:

— Bon garson, dobry chłopiec, dobry żołnierz!

Wypełnił rozkaz wojskowy. Dawałem mu dwa złote, aby mnie przez most przepuścił, a on nie tylko, że nie wziął dwóch złotych, ale mnie nadto kolbą do odwrotu zmusił. Tak powinniście wypełniać rozkazy wojenne!

— A ty, mówił dalej Straszewski, obracając się do innego żołnierza, który był wziął dwa złote i przepuścił go tego samego wieczora przez inny most - ty oddaj zaraz dwa złote i bierzcie go natychmiast do aresztu, bo zhańbił honor żołnierza.

Ochłonałem ze strachu. Straszewski zaś przybliżył się do mnie i rzekł po cichu:

— Narobiłem ci wczoraj i dziś dużo strachu, aleś mnie też piękną twą kolbą przywitał.

Przeprosiłem go, a on mnie poklepał po ramieniu.

Będąc w Poznaniu, żał mi było bardzo, że kościoły tak były zniszczone. U Sióstr Miłosierdzia bowiem były więzienia dla zabranych Moskali i innych. U Dominikanów pracowali francuscy kłodzieje i rzemieślnicy, tylko w kaplicy Najświętszej Maryi Panny Różańcowej nabożeństwo się odprawiało. U Panny Maryi przy Turmie była słoma. W kościele św. Józefa także była słoma, ale i lazaret.

Nie zapomnę go nigdy, byłem bowiem raz komenderowany na wartę do niego. Chorzy leżeli na ganku, gdzie się całą noc paliła lampa.

O godzinie dziesiątej zamykano bramę i nikogo nie wpuszczano. Ja położyłem się na ławie, na ganku stojącej.

Wtem przychodzi do mnie jakiś wielki pies szary. Strzelam, ale on stoi. Przeżegnałem się, a ów pies krąży koło mnie. Robię więc bagnetem naokół siebie, robię krzyż święty. Pies znikł nagle. Wychożę na podwórze, by odetchnąć po owym strachu, a tu coś głośno na gzymsie pod dachem kula jakby w kręgle. Naraz i drzewo zaczyna ktoś rąbać na tym samym podwórzu w pobliskiej szopie; idę więc zobaczyć, a tu nie ma nikogo. I byłbym uciekł z warty, lecz kogut zapiał i wszystko ucichło.

Sasi też w Poznaniu nie chcieli znać subordynacyi, tak dalece, że jedna kompania swego oficera, Francuza, na Chwaliszewskim moście zabiła i w rzekę z mostu rzuciła, po czem żołnierze uciekli.

Goniliśmy ich co żywo. Jedenastu schwyciliśmy w boru za Potulicami pod Rogoźnem, innych pod Szamotułami, a innych jeszcze pod Kaźmierzem, gdzieśmy ich nagnali we wodę, aż się wreszcie oddali w ręce nasze.

Dnia jednego wyszliśmy z Poznania do Leszna na patrol, na czele mając księcia Sułkowskiego z Rydzyny. Żydzi leszczyńscy wyjechali konno nam naprzeciw i zaczęli wołać: „Vivat nasz Jegomość księżę Sułkowski! Niech żyje z łaski Pana Bożego! Niech żyje!” i wprowadzili nas tak do miasta, a myśmy się z tego nie mało śmiali.

Z Poznania, gdzie staliśmy trzy ćwierci roku, ruszyliśmy znowu pod Warszawę.

Tu nam powiedziano, że pójdziemy do Niemiec, gdzie nam dobrze będzie, bo nam tam wszystkiego dać muszą, lecz poszliśmy przez Saksonię do Paryża.

W Paryżu odbyła się wielka prada. Pamiętna mi ona jest, bom podczas niej widział polskiego wodza Kościuszkę. Ubrany był w granatową czamarkę. Nic już nieborak podobno nie widział, jeno go służący Marcinek pod bok trzymał i prowadzał. Przybliżył się do naszego szeregu polskiego i rzekł:

— Mówcie co do mnie, niech też jeszcze przed śmiercią usłyszę głos żołnierza polskiego.

Powiedzieliśmy mu, z których okolic jesteście, ile pułków jest polskich i które są. Chciał pewnie więcej mówić, ale zakomenderowano nami. Kościuszko wyrzekł jeszcze:

— Tak się więc tułamy! - i jużem go więcej nie widział.

W Paryżu dał nam Napoleon wielki obiad, do którego należały tylko pułki polskie: czwarty, siódmy i dziewiąty. Ja byłem w ostatnim. A był to obiad nie lada, jedzenia suto, wina beczkami nam wozili, a francuska gwardyja cesarska z krzyżami i orderami na piersiach usługiwała nam do stołu.

W trzy dni potem udaliśmy się do Wersalu, gdzieśmy złożyli polskie mundury, a dostali francuskie.

Piękny to był nasz ubiór wołyżerski. Mieliśmy bowiem kaszkiety czarne z zielonożółtym piórem i żółtym orłem na przodzie, nad nim była kokarda francuska, mundur granatowy z białymi wypustkami i białymi guzikami; epolety zielone z obwódką żółtą i frędzlami zielonemi; kamasze czarne lub białe, stosowne do koloru spodni,

i trzewiki lekkie. Broń naszą stanowił krótki sztucer z bagnetem, z trzech stron ostrym.

Z Wersalu poszliśmy do Bordo<sup>7</sup>, a stąd do Bajony<sup>8</sup>. W Bajonie, blisko granicy hiszpańskiej, kazano nam wypocząć, dano nam wszystko, cokolwiek żołnierzowi przydać się może: łyżkę, nóż, igły, szpilki i inne drobne rzeczy i powiedziano nam, że idziemy do Hiszpanii.



<sup>7</sup> Bordeaux — miasto w pld.-zach. Francji, duży port morski nad rzeką Garonną.

<sup>8</sup> Bayonne — miasto w pld.-zach. Francji, przy ujściu rzeki Adour do Zatok Biskajskiej.

#### IV.

### Wojna Hiszpańska



W sam święty Marcin<sup>9</sup> słońce pięknie świeciło, muzyka nam ostro przygrywała - przechodziliśmy góry, między Francją a Hiszpanią; mnie się zdawało, że aż do samego nieba sięgały. Przeszedłszy granicę, bita, ale wężykowatą drogą, ujrzelśmy się w Hiszpanii, kraju zupełnie obcym. Z początku nie spotkaliśmy żadnego nieprzyjaciela, ale lud hiszpański bardzo z ukosa na nas patrzył. Dla ostrożności odbywaliśmy noclegi pod gołym niebem, z dala od wsi i miast.

Dopiero pod Wiktoryją<sup>10</sup> przyszło do wielkiej bitwy, w której sam Napoleon dowodził. Widzę go jeszcze dziś, jak z całą paradą i wielką świtą jenerałów, wspaniale ubranych, uwijał się na koniu siwym przed frontem naszym; kule świstały jak grad, Hiszpanie, których była wielka moc, ogromnie się bronili. Huk był taki, że aż ziemia drżała, ale nie nadszedł był jeszcze wieczór, a jużesmy ich pokonali. Wielu zabraliśmy w niewolę, reszta, co mogła, uciekła ku południowi.

Pod Burgos<sup>11</sup> drugi raz nam opór stawiali, ale jakesmy ich zaczęli prażyć, zmiotali wnet co żywo. Za nimi posuwaliśmy się aż do Madrytu, stolicy Hiszpanii.

Raz w drodze stanęliśmy obozem nad jakimś czworobocznym kanałem. Gdy konie naszej konnicy poczęły z niego pić wodę, zaraz z nich na miejscu padło kilkanaście, a dwóch żołnierzy, którzy się z niego także napili, dostali takiego bólu brzucha, że ledwo nam nie umarli. Podobno woda ta była zatruta i dlatego jeszcze tej samej nocy posunęliśmy się dalej.

W Madrycie chcieli się Hiszpanie bronić, ale miasto nie pozwoliło, tylko powiedzieli: chcecie się bić, to idźcie na otwarte pole.

<sup>9</sup> 1808 r.

<sup>10</sup> Chodzi tu zapewne o Vitorię - miasto w póln. Hiszpanii (Baskonia).

<sup>11</sup> Burgos - miasto w póln. Hiszpanii (Stara Kastylia).

Udali się więc Hiszpanie głównie na dwa trakty. Jedni szli na zachód ku Portugalii, a drudzy ku południowi do Toledo<sup>12</sup>. I nas podzielono; jedni szli ku Saragosie, nasze zaś trzy pułki, to jest czwarty, siódmy i dziewiąty, do którego ja należałem, ominąwszy Samosierę i Madryt, udały się ku Portugalii, gdzie Anglicy mocno dopomagali Hiszpanom.

Idąc ku granicy Portugalskiej, stanęliśmy obozem w jakiejś wsi. Nazajutrz ruszyliśmy dalej, jeden generał nasz tylko został jeszcze z kompanią wojska w tej samej wsi. Gdy on wyjechał, a kompania miała za nim iść, naprowadzili ją chłopci na wojsko hiszpańskie. Podążyliśmy im na pomoc, lecz za późno, bo już ich byli Hiszpanie do szczętu zbili. Tylko ciała ich przykładowie pochowaliśmy. We wsi tymczasem nikogo nie było widać.

Kapitan Jasielski został z naszym batalionem na górze pode wsią, a nas kilkunastu wykomenderował do wsi, abyśmy poszukali co do zjedzenia, a zarazem dowiadywali się o winowajcach. Szukamy po domach, żywej duszy nie widać. Weszliśmy wreszcie do wielkiego domu, a tu w czwartym pokoju leży na łóżku śliczna, młoda niewiasta, właśnie w chorobie. Daliśmy jej pokój, tylko donieśliśmy kapitanowi o niej. Kapitan mówi do nas: „Pod wieczór pójdziecie jeszcze raz do tego domu; do tej niewiasty ktoś pewno przyjdzie”. - Poszliśmy na wieczór i istotnie znaleźliśmy mężczyznę, młodego, siedzącego przy jej łóżku. Wzięliśmy więc podług rozkazu i ową niewiastę i dziecko, i przyprowadziliśmy do obozu. Niewiastę słabą kazał kapitan szanować, dlatego roznieciliśmy ogień i kazali jej z dzieckiem usiąść przy nim, a męża trzymaliśmy. Gdy noc minęła, niewiastę i dziecko odprowadziliśmy do domu, a męża wzięliśmy za przewodnika, aby nas zaprowadził szczęśliwie do naszych. Lecz on prowadził nas prosto na wojsko hiszpańskie. Kapitana złość wzięła, choć był dobry człowiek. Po cichu kazał nam iść na bok w bór, żeby nas Hiszpanie nie ujrzeni, a gdyśmy wyszli szczęśliwie z łąпки, kazał naszemu przewodnikowi związać palce u rąk w tył, przywiązać go do drzewa i bić.

Ucieraliśmy się w drodze ciągle, a na granicy Portugalskiej była wielka bitwa z Anglikami i Hiszpanami w samo Boże Narodzenie 1808 roku. Biliśmy się tak, że nam już siły prawie ustawały, ale Bogu dzięki, zwyciężyliśmy.

---

<sup>12</sup> Toledo — miasto w Hiszpanii, nad rzeką Tag (Nowa Kastylia).

Naszych dużo w tej bitwie zginęło, mianowicie ułanów, którzy się byli zanadto zapędzali na most, tak iż Hiszpanie na lance ich brali i z mostu w rzekę zrzucali, więcej jednakowoż zginęło Hiszpanów i wielu zabraliśmy do niewoli.

Jednemu księdzu zabranemu - pamiętam dobrze - po owej bitwie kluski gotowaliśmy, boć to osoba duchowna; ale nie chciał ich jeść, tylko smutny siedział na odwachu. Trzy niedziele chodziliśmy po Portugalii i jużśmy byli blisko Lizbony, stolicy portugalskiej, ale otrzymaliśmy rozkaz, aby wrócić do Hiszpanii, do Toledo.

\* \* \*

Przeszło ośm miesięcy staliśmy w Toledo po kościołach albo celach klasztornych. Obstąpili nas tu Anglicy i Hiszpanie i tak do nas bili z armat, że ziemia się trzęsła. Puszczali bomby i kule palące się, które z góry padały i paliły gdzie padły, ale i to nam nie wiele szkodziło i spokojnie siedzieliśmy w mieście, i w karty graliśmy. Ja sam wygrałem podczas gradu kul armatnich pełne kieszenie i pełen kaszkiet samych talarów pięciofrankowych francuskich. Ale o pieniądze nikt nie dbał; bo nigdy nie był pewien życia, a pieniądze ciążyły przy marszu. Najgorzej było, że w cytadeli, w której ja byłem, wody nie mieliśmy. Trzeba więc było wśród strzałów nieprzyjacielskich, albo nocą, chodzić po wodę do rzeki.

Będąc w Toledo, gdzie wiele wielkich widziałem kościołów, wstąpiłem raz do jednego, aby się pomodlić. Wchodzę i oddaję najprzód pokłon Bogu, wtem podnoszę oczy na ludzi, a tu wszyscy w czerni. Najśłodsze Imię Jezus, myślę sobie, czy ja tu między potępiencami? Ale przychodzi do mnie człowiek - pewnie kościelny - i widząc mnie klęczącego, bierze mnie pod rękę i prowadzi. Jużem myślał, że żywo nie wyjdę na świat, a tu prowadzi mnie na gradus ołtarza wielkiego i każe uklęknąć obok księdza. Klękam i mówię sobie pobożnie pacierz po polsku, jak mnie matka nauczyła, a oni z księdzem odmawiali sobie pewnie litanie, bo ciągle odpowiadali księdzu tak jakby: „Módl się za nami”. Skończyli, a mnie znowu bierze pod rękę ów człowiek, odprowadza do drzwi i mówi: „bueno kattoliko romano”, to jest: dobry katolik rzymski.

Poszedłem jeszcze raz z innymi towarzyszami do tego kościoła. Ale że zaczęli rozmawiać i śmiać się, wyszedłem, żeby nie obrażać Boga w kościele, a i Hiszpanie byliby nas mogli zabić.

Z Toledo wychodziliśmy ciągle na patrole. Pod Arangoz<sup>13</sup> przetrzepaliśmy mocno Hiszpanów i wróciliśmy na powrót do Toledo, gdzie się znowu zebrali na nas, ale my nocą niespodziewanie napadliśmy na nich i rozegrali.

Niedługo potem dowiadujemy się, że Hiszpanie szykują się na nas pod Almonaz<sup>14</sup>. Pospieszaliśmy ku nim i nastąpiła zjadła walka. Pod księciem Sułkowskim dwa konie ubito. Nie mogliśmy Hiszpanów ruszyć, ale i oni nas też nie zmagli. Hiszpanie usadowili się w zamku, obwarowanym na górze, i zaczęli nas z armat mocno prażyć; ustąpiliśmy przeto na prawo, może z ćwierć mili od tej cytadeli, pod miasto Okania<sup>15</sup>. Na obszernym polu rozłożyliśmy się, a było nas wszystkich podobno do pięćdziesiąt tysięcy chłopca. Hiszpanów zaś miało być jeszcze więcej. Sami bowiem pisali do nas, abyśmy się poddali, bo ich jest siedmiu na jednego. My się jednak nie bali. Uderzyliśmy na nich najpierw w kolumnach, ale daremnie, bo mieli dużo konnicy, która nas rozbić chciała. Utworzyliśmy więc trzy czworoboki, z samych Polaków składały się te czworoboki, bo tylko czwarty, siódmy i dziewiąty pułk do nich wchodziły. Czworograny te były w jednej linii, i to tak byliśmy w nich ustawieni, że trzy pierwsze rzędy nastawiały bagnety, jedne nad drugimi, a trzy następne rzędy przez nie strzelały. W środku zaś mieliśmy po trzy armaty, które raz po raz, rozstępując się w rogu czworoboku, wypuszczaliśmy ze środka do dania ognia. Tymczasem inne wojska nasze ucierały się w rozmaity sposób z nieprzyjacielem. Hiszpani ustawiczy do nas przypuszczali szturm, to znow z armat ognią dawali, ale niezbyt szkodliwie, tak iż sądzili, że nas się kule nie chcą imać, dlatego jeden generał hiszpański wór pieniędzy włożył w armatę i kazał do nas wystrzelić, ale i to im nie pomogło. Poszliśmy wreszcie na bagnety, a nasza tęga artylerija holenderska dała równocześnie ognia z armat i przemogliśmy ich. I to szczęście nasze, bo zaledwie zwyciężyliśmy, widzimy ogromną masę ludu wysypującą się z lasu oliwnego i spieszącą na pomoc Hiszpanom. Rozpędziliśmy jednak wszystkich aż do góry Sierra Morena. Stojąc tam dwa tygodnie, przepędziliśmy ich powoli za góry, a sami wróciliśmy do miasta Mansanares.

\* \* \*

<sup>13</sup> Aranjuez — miasto w Hiszpanii nad rzeką Tag (Nowa Kastylija).

<sup>14</sup> Almonacid — miejscowość w Hiszpanii na południe od Madrytu.

<sup>15</sup> Ocana — miejscowość w Hiszpanii (Nowa Kastylija); wspomniana bitwa miała miejsce 19 listopada 1809 r.

W Mansanares zebrali nas Polaków w sześć kompanii, do tego przyłączono ułanów polskich, kirasyjerów i huzarów francuskich, ogółem ze trzy pułki konnicy. Tak oddzieleni od swoich, chodziliśmy blisko trzy lata. Każdy batalion miał kompanię granadyjerów i kompanię strzelców, czyli woltýzerów, do których i ja należałem. Jenerałami naszymi byli sami Francuzi i nazywali się Walans, Ziro i Sult, i inni. Osobliwie byliśmy pod komendą marszałka Sebastiana.<sup>16</sup> Z Polaków mieliśmy z sobą najwyżej kapitanów. Książę Sułkowski i inni polscy jenerałowie zostali przy pułkach w tyle. Kiedy nam szło dobrze, tośmy szli naprzód, a gdy nam było ciężko, tośmy się do nich cofali.

Odosobnieni w Mansanares, z obawy żeby nam tyłu nie zabrano, chociaż tam założyliśmy już wielkie magazyny, postanowiliśmy cofnąć się pod Konswegro. Przyszli za nami Hiszpanie, lecz pobiliśmy ich, po czym oni umknęli ku góróm, a my pod miastem Konswegro rozłożyliśmy się obozem.

Po krótkim odpoczynku przychodzi do mnie kapitan Jasielski i mówi:

— Jędrzeju, masz tam co do zjedzenia?

— Nie mam nic, panie kapitanie, a co gorsza, sam umieram z głodu.

— No, ty dość dobrze mówisz po hiszpańsku, więc idź do miasta i przynieś, co możesz.

Idę, wchodzę do miasta ostrożnie, a tu ogromny rejwach. Nasi ułani już się kręcą po ulicach, a Francuzi poustawiali broń w kozły i weszli do domów. Każdy brał co mógł, bo każdy był zgłodniały.

Widzę przy broni przed jednym domem stosy chleba, więc mało myśląc, łap za trzy bochenki, dalej z niemi do torby i w nogi. Aż tu Francuzi wybiegają z domu i krzyczą. Udaję, że nie słyszę i zmykam co siły, jak lis z gęsią, do obozu. Nakłęli się do woli, ale widząc, że to swój, dali pokój. Po drodze wszedłem do jakiegoś domu, a tu pełno wina, likierów i mięsa różnego. Bogu dzięki, myślę sobie, teraz się pokrzepię. Jeść nie było czasu, ale za to dobrze pociągnąłem sobie smacznego winka, i choć tam byli inni oficerowie, przeprosiłem ich, nalałem sobie w jedną flachę likieru, w drugą wina, wziąłem porządną szynkę na plecy i kroczę do obozu.

<sup>16</sup> Horace Sebastiani (1772–1851) — hrabia, marszałek Francji.

Kapitan o mało mnie nie uściskał za to, gdym mu wino, likier i szynkę z chlebem oddał. Zaczęli sobie oficerowie zajadać, a ja poszedłem na bok, gdzie stał feldfebel nasz Imbierowicz, pocziwa dusza, z którym wszystko razem dzieliłem. Pyta mnie, gdzie byłem? Ja mu odpowiadam, a on na to:

- Nie masz tam jeszcze co w torbie?
- Mam trochę chleba i mięsa.
- A pić nie przyniosłeś?
- Przyniosłem, alem dał kapitanowi.
- Widzę, żeś sobie dobrze pociągnął, bo ci się oczy świecą jak kotowi, rzecze do mnie dalej.
- Piłem, prawda, ale nie dużo, bo sam rozum nakazywał obawiać się zdrady, jednak mi dziwno, żeś tak rozmarzony.

Ej to minie, na powietrzu świeżem wnet wytrzeźwiejesz; widać, żeś nowicyjusz do flaszki.

\* \* \*

Wieczorem tego samego dnia odebraliśmy rozkaz, abyśmy w największej cichości o pierwszej godzinie w nocy stanęli pod bronią. Gdy pierwsza wybiła, staliśmy już wszyscy gotowi do marszu. Mnie napadło takie drzenie całego ciała, że w żaden sposób nie mogłem się utrzymać na nogach. Imbierowicz to widzi i pyta: co mi jest? Powiadam, że ledwo żyję, a on do mnie:

— Wiesz co, poradzę ci, zanim dadzą rozkaz do pochodu, idź za szereg i usiądź trochę, ale na Boga nie zaśnij!

Ja wlokę się na bok, kładę coś pod głowę, ale sen jak ołów cięży mi na oczach. Zasnąłem, budzę się, a tu już świtać poczyna, naszych ani słyhać, ani widać, tylko słyszę nad głową moją jakiś gwar. Wnet widzę dwóch chłopów hiszpańskich przy mnie. Zdrętwiałem; leżę jak nieżywy, a tu słyszę nad sobą po hiszpańsku:

- Patrzno, tu śpi jakiś francuski złodziej!
- Czy masz swój wielki nóż przy sobie?
- Nie, nie mam - Ale oto kamień dobry, uderz nim w łeb, a prędzej umrze!

Te ostatnie słowa hiszpańskie: „Toma usted una piedra, echa, a la kabeze, prónito morira” tak pamiętam, jakbym je dziś słyszał i do dnia sądnego ich nie zapomnę. Myślałem, że już ostatnia godzina dla mnie wybiła. Otwieram więc oczy, a oni widząc, że patrzę na

nich, witają mnie: „*Buenos dies, cavallero, que travajo ce ustetaf sennor?*”, to jest: Dzień dobry, kawalerze, co robisz panie?

— Cóżbym robił, moi panowie, oto leżę chory i ruszyć się nie mogę.

— Ty łotrze, zawołał starszy, dziś udajesz chorego, a wczoraj ileś domów zrabował w mieście?

— O nie, moi panowie, ja wczoraj jeszcze byłem słabszy jak dziś; jakże więc miałem rabować?

— Zaraz się to pokaże, krzyknął znów starszy. I dalej zaczynają mnie rewidować i cały tornister przetrząsać, mówiąc: „Jeżeli znajdziemy jakąkolwiek rzecz zrabowaną u niego, to go zabijemy!”

Na mnie pot prawie śmiertelny wystąpił, bom miał dwie koszule, którem wziął w jednym domu, bo jakże miałem bez koszul chodzić, a zresztą starsi mi je wziąć kazali. Wiedziałem nadto, jak Hiszpanie okrutnie mordowali naszych, gdyśmy szli z Portugalii.

Jednego Francuza schwytawszy, pourzynali mu po kawałku ucha, nosa, palcy u rąk, pogruhotali mu całą głowę kamieniami i tak zakopali aż do pasa w ziemię. Innych zabijali, zasypywali ziemią, ale pokazali ręce albo nogę, albo głowę. Aż strach wspomnieć na takie morderstwa.

Myślę sobie: to pewnie i ze mną tak dziś będzie. Ale szukają i nic nie znaleźli. Nie wiedzą więc, co ze mną robić. Patrzą na mnie strasznie, a ja na nich miłosiernie bardzo.

— Cóż zrobimy z tym człowiekiem? mówi jeden do drugiego.

Lecz ten starszy zapatrzył się w inną stronę, gdzie się kręcili mieszczanie i dużo ludu, który przybył do opuszczonego przez naszych obozu i nic nie odpowiedział.

Wtem nadszedł ksiądz.

— *Buenos dies, cavallero*, to jest: Dzień doby, kawalerze, zagaduje mnie ksiądz, a za nim dużo ludu przybiegło i cieszyło się nade mną co niemiara.

Ksiądz uciszył ich, a mnie kazał iść za sobą na probostwo. Gdyśmy przybyli, dobył papieru i zaczął mnie wypytywać kto jestem i co tu robię? Powiedziałem mu szczerą prawdę, że jestem polski żołnierz, daleko od swojej ojczyzny, i inne rzeczy, o które się pytał. Tymczasem w sieni zebrało się mnóstwo ludzi, a kobiet najwięcej, które niestworzone rzeczy na mnie wygadywały. Ksiądz jednak nie zważał na ich wrzaski, tylko rzekł do nich:

— Moi ludzie, ten człowiek powiada, że jest Polakiem i katolikiem. Zobaczymy, czy to prawda.

To rzekłszy, kazał mnie dwom chłopom rozebrać prawie do kożuli. Ale na szczęście ujrzał szkaplerz na piersiach moich, zawołał więc, pokazując go:

— Si, werdad sennor, este es Cattolico Romano, tj. Prawda, panie, jest katolikiem rzymskim.

Po tych słowach, jakby ręką przewrócił. Ustały krzyki, pomsty, a książyk poczciwy - Panie daj mu niebo - kazał mi podać kawał prześlicznego salcesonu i jakiejś dobrej wódki, co po hiszpańsku „rossoli” nazywają. Podał mi tego rosółu w kieliszku małym. Ja po tej chorobie wczorajszej taki byłem zgłodniały, żebym był tę wódkę z kieliszkiem razem połknął, ale nie wiedząc, co dalej będzie ze mną, miłośniernie podziękowałem, a salceson schowałem do kieszeni.

Ksiądz obrócił się do ludzi i rzekł:

— Moi ludzie, choć go zabijemy, cóż nam z tego będzie, chyba to, że przyjdą Francuzi i raz jeszcze nasze miasto zrabują. Ten człowiek jest naszym bratem katolikiem, trzeba nad nim mieć litość, bo inaczej Bóg by nas może za niego karał. A do mnie, obracając się, powiedział:

— Gdzież chcesz iść teraz, czy do naszego wojska, czyli też do swoich?

— Do swoich, mówię.

— A wiesz dokąd oni poszli?

— Pod Santa Krus<sup>17</sup> odpowiadam.

— Si, sennor, mówi mi ów książyk. Prawda, wiem o tem i cieśzy mnie, że prawdę mówisz.

Potem otworzył okno, zawołał jakiegoś chłopaka i kazał przygotować dwa osły do podróży. Mnie zaś nalał w moją manierkę owego rossoli, oddał broń i obficie zaopatrzył w żywność.

Pożegnałem ze łzami zacnego księdza i ruszyłem w drogę do swoich na osielku, a na drugim ów chłopak, który mnie prowadził. Z początku podróż szła szczęśliwie, nikt mi ani słowa przykrego nie rzekł, ale, gdyśmy się między góry dostali, zaczęli do nas zbrojni górale hiszpańscy strzelać, że kule jenó tak gwizdały koło ucha. Chłopak krzyczał po hiszpańsku z całego gardła, ale to nic nie po-

---

<sup>17</sup> Santa Cruz - miasto hiszpańskie w Nowej Kastylii.

magają, albo nie słyszeli, albo też nie zważali. Widząc, że to nie żarty, dopieroż długim kijem, jakby od cepów, począł obkładać swego osiołka, a mego szturkać. Biedne ośleta biegly teraz i drepcily co żywo po górach. Mnie, piechurowi, od tego drepcenia tak było przykro, że aż mi zęby szczekotały, a salceson w tornistrze to jeno tak tańcował, jam zaś na owym ośle gibał się z jednej strony na drugą jak wiecha.

Dziś to trochę śmiesznie, ale wtenczas nie miałem do śmiechu ochoty. Przybyłem szczęśliwie do swoich. Chłopcu dałem nieco żywności, kazałem wracać do domu i prosiłem go, żeby jeszcze raz pięknie podziękował dobrodziejowi.

Pierwszy, którego z naszych spotkałem, był poczciwy Imbierowicz. Pyta mnie zaraz:

— Gdzieś to był, zem cię tak długo nie widział?

— A jakieś mnie miał widzieć, kiedy ja dopiero wracam z Konswegro!

— Co ty gadasz, człowiecze?! Toś chyba zasnął wtedy?

— Naturalnie, zem zasnął i basta!

Tu opowiedziałem mu całe zdarzenie i podzieliłem się z nim likierem i salcesonem. On meldował zaraz kapitanowi, ten dalej. Chcieli generałowie nasi poczciwemu księdzu dać za to wynagrodzenie, że mi życie uratował, ale, gdyśmy przybyli na powrót do Konswegro, już nie było nikogo w mieście, ani owego księdza. Kościół zastaliśmy otwarty i zrabowany, a komże, ornaty i kapy poniewierały się po ziemi. Serce się ścisnęło na widok takiego spustoszenia na miejscu święte, ale cóż, była wojna!

Dowiedziałem się później, że to Francuzi, co po nas przyszli, tak to miasto zrabowali za to, że im mieszczanie zabili generała. Jak on się nazywał nie wiem, ale to wiem, że zawsze na białym koniu jeździł.

\* \* \*

Z Konswegro poszliśmy pod Okanią, gdzieśmy okrutnie się bili; po kilka razy szliśmy na bagnety, aż oczy zamknąłem a zgałem. Zwyciężyliśmy. Noc spędziliśmy w polu, a nad ranem wynieśliśmy się cicho do Mansanares, skąd potem poszliśmy w góry szukać Hiszpanów.

W górach tych wykuta była droga. Tę z obydwoch stron obsadziliśmy, nie puszczając nikogo. My strzelcy mieliśmy pierwsze pla-

cówki. Właśnie mój sąsiad, kapral Wojtak, rozmawiał ze mną, aż tu między obiema placówkami naszymi przemyka się na ładnym koniu szpakowatym jakiś Hiszpan w krótkich porteczkach, spencerku, konopnych pończoszках i skórzanych, szarych kamaszach.

— Stój! wołamy, a on umyka. Złapaliśmy go jednak. Powiadał, że szuka zgubionego osiełka. Dobrze, mówimy, choć mu nie wierzyliśmy i prowadzimy go do marszałka Sebastianiego, gdzie się okazało, że to był szpieg, bo gdy go zrewidowano, miał na tydkach pod pończochą wypisane, ilu nas było, ile mamy armat itd. Miał być powieszony, ale się bardzo prosił, aby się nad nim zlitowano. Przyśiągł, że nam będzie szpiegował. Darowano mu życie. Jakoż służył nam przeszło dwa lata bardzo wiernie i bardzo dobrze. Gdy mu się wreszcie to rzemiosło sprzykrzyło, prosił o wolność i puszczono go.

Szpieg ten zaraz na wstępie powiedział nam, że ta droga bita na wielu miejscach jest niebezpieczną, bo Hiszpanie miny podłożyli, by nas wysadzić w powietrze. Zapobiegł temu marszałek Sebastiani w ten sposób: Kazał hiszpańskim chłopom spędzić wielką liczbę osłów i mułów, na które włożono tłumoki. Osły te z ludźmi w szeregach, jakby wojsko jakie, mając na przodzie doboszów, którzy przeraźliwie bębniłi, maszerowały po onej drodze. Aż tu naraz straszny huk, patrzymy, a tu dym wielki i chłopcy i osły latają jak ptaki w powietrzu. Hiszpanie bowiem miny zapalili, myśląc że to my idziemy. Nasi dobosze zaś, minąwszy zasadzkę, dostali się w ręce Hiszpanów, i tylko jeden z nich później do nas wrócił.

Gdy tak minęło niebezpieczeństwo, opuściliśmy góry i bez żadnego wypadku ciągnęliśmy ku Granadzie.<sup>18</sup>

\* \* \*

Pod samą Granadą przetrzepaliśmy znowu porządnie Hiszpanów i weszliśmy do miasta.

Stąd udaliśmy się do Tawerny,<sup>19</sup> gdzieśmy ośm miesięcy stali i na wszystkie strony wycieczki robili. W nocy wychodziliśmy za miasto, a w dzień wracaliśmy do koszar.

Poprzednio, zanim z Granady przybliżyliśmy do Tawerny, staliśmy przez cztery miesiące w mieście Santofe<sup>20</sup>,

---

<sup>18</sup> Grenada — miasto w pld. Hiszpanii (Andaluzja).

<sup>19</sup> Tawerna — miasto hiszpańskie w pobliżu Grenady.

<sup>20</sup> Santa Fe — miasto hiszpańskie w Andaluzji.

Pod tem miastem, żeby się zaopatrzyć w mięso, zajęto raz na patrolu w górach czterysta owiec i tyleż kóz. Trzodę tę musieli chłopci paść po górach, a my z bronią nabitą chodziliśmy za nimi. Na noc przypędzano stado do miasta, na podwórze ogrodzone. Raz pod wieczór, gdym właśnie zamykał bramę, słyszę, że ktoś puka. Patrę, a tu stoi Hiszpan, niewidomy jak pieniek, a w najlepszych latach; pachole prowadzi go.

— Co tu chcecie? pytam.

A on odpowiada żałością: „Ach to moje owce i kozy, któreście zabrali! To cały mój majątek! Pozwól, niech przynajmniej uściskam jedno z moich jagniątek”.

Żal mi się zrobiło biedaka; schwyciłem więc jedno jagnię i podałem mu je. On ścisnął i całował ze łzami owo zwierzątko, a potem westchnął ciężko, mówiąc:

— Już ty teraz nie moje, idź z Bogiem.

Chłopiec, który go prowadził, rzekł:

— Sennor Alonzo, cóż nam płacz pomoże; chodźmy lepiej do domu.

Już chciał odchodzić; ja rozczulony mówię do niego:

— Panie Alonzo, kto wie, czy się nie da jako naprawić wasza strata? - Ja wam dopomóc nie mogę, ale tę wam daję radę: idźcie do Granady, gdzie jest nasz generał Sebastiani, proście go, może wam każe wypuścić albo wszystką trzodę, albo przynajmniej część. Wszak spróbować nie zawadzi.

Poszedł za moją radą, a marszałek kazał mu wypuścić po dwieście maciorek z obudwóch rodzajów, cośmy też chętnie uczynili.

Radość niewidomego Hiszpana była niesłychana. Pytał, gdzie jestem, a gdy mnie znalazł i na zapytanie jego powiedziałem mu, jak się nazywam i jak mi imię, zawołał z radością:

— Andres amigo, bueno hombre! to znaczy po polsku: Jędrzeju, przyjacielu, dobry człowieku! Pójdź do mnie, mówił dalej, niech cię uściskam! i jak mnie złapał za szyję, to o mało mnie nie udusił.

Potem zaprosił mnie do swego domu, gdzie poznałem jego matkę i dwie siostry. Nie było mi na świecie lepiej nigdy jak w on czas. Alonzo, gdy mnie tylko posłyszał, zawsze wołał serdecznie: „Andres amigo!”

Przez cały czas pobytu w tem mieście nie zaznałem co bieda. Zawsze mnie prosili do siebie - wszystkiego mi dawali, czego tylko zapragnęła dusza moja.

Obie siostry mnie obszyły i oprwały. Taką miałem śliczną bieliznę, by panicz jaki. O nic się nie troszczyłem, bo wszystkiego dostałem od poczciwego Alonza bez mówienia.

Obie siostry były urodziwe i pobożne panienki, osobliwie młodszą, co się zwała Maria Dolores. Ta bardzo mnie lubiła, a jam też krzywo nie patrzył na nią.

Cała familia chciała mnie zatrzymać i ofiarowali mi Marię Dolores za żonę.

Przyznam się, że będąc młody i rozkochany, przy tem i majątnego widząc obywatela w owym Alonzo, widziałem na ziemi raj otwarty przed sobą. Bo Alonzo miał oprócz trzód jeszcze kamienice wielkie i majątek.

Ale cóż, żołnierz nie do siebie należy.

Porzucić rodaków i chorągiew dla osobistej korzyści, to wstyd i hańba. A przy tem myślałem jeszcze sobie: Hiszpanie to naród zdradliwy; niechbym się tylko kiedy rozgniewał na kogo, toby mnie gotowi zabić jak cudzoziemca.

Na własne bowiem oczy widziałem, jak jeden Hiszpan, trafiwszy drugiego w polu, zapytał go:

— Sennor, masz ty dobre serce? a ten mu odpowiada:

— Mam.

— A masz ty wielki nóż?

— Nie mam, odpowiada tenże. Potem daje mu wór skórzany z winem i prosi pięknie:

— Napij się trochę, a gdy ten wór do ust przyłożył, uderzył go nożem w pierś tak, że na miejscu został.

Ten przypadek tkwił mi w myśli. Choć mi się więc serce wydierało do ładnej Maryi Dolores, i choć chodziłem jako błędny z miłości i żalu, że takie szczęście porzucam, oddalałem te myśli od siebie, a ich zbyłem nie mówiąc ni tak, ni owak.

Niedługo też potem dostaliśmy rozkaz do wymarszu.

Był to wieczór, ja właśnie stoję już gotowy pod bronią, a tu przybiega moja Dolores i mówi mi z płaczem:

— Ach zostań, zostań! Cóż ja tu pocznę nieboga.

Tem mi serce zakrwawiła, bo i ja o niej ciągle myślałem.

— Widzisz sama, odrzekłem, że broni rzucić nie mogę! Może później wrócę, ale teraz... Nie mogłem skończyć bo mi głos w gardle zdrętwiał.

Ona milczała chwileczkę, po czym znów odezwała się:

— Mój kochany, nie chcę być przyczyną twego nieszczęścia, więc idź z Bogiem! Weź jednak przynajmniej te pieniądze na drogę sobie, a nie zapomnij o nas.

Stokrotnie ucałowałem jej ręce, dziękując za wszystkie dobrodziejstwa jak najserdeczniej. Prosiłem, aby uściskała ode mnie Alonza, matkę i siostrę.

Wtem zakomenderowano do szeregu. Dolores spojrzała na mnie, mnie się łza kręciła w oku i w jej oku łzy widziałem. Ze spuszczoną głową odeszła. Ja też z ciężkim sercem ruszyłem z miejsca.

Później byliśmy znowu w Santofe i, ledwo kurz z nóg otrzepałem, pobiegłem do domu Alonza. Ale już tam żywej duszy nie zastałem, bo wszyscy uciekli przed Francuzami, którzy po nas zajęli to miasto. Nie mogłem się nawet dopytać, gdzie się obraca moja biedna Dolores i jużem odtąd jej nie widział.

W tem mieście Satofe to jeszcze jest ciekawego, że był tam dawniej jakiś król maurytyjski zabity.

Widziałem nad bramą jego głowę i ręce na krzyż złożone; ciało zaś jego miało być pochowane w Granadzie na placu Defin, gdzie był pomnik jego, a w nim co wieczór paliły się dwie latarnie.

\* \* \*

Z Santofe wróciliśmy do Tawerny. Tu kazano mi wziąć kilku żołnierzy i szukać drzewa na opał. Pod miastem był lasek oliwny; pobiegliśmy więc czem prędzej do niego i zaczęliśmy rąbać drzewo. Wtem przychodzi jakiś mieszczanin i mówi:

— Moi żołnierze, nie róbcie mi krzywdy! Ten lasek jest mój, szkoda marnować tak piękne i pożyteczne drzewiątko.

— Wybacz pan, odpowiadam mu, ale taki dostałem rozkaz, bo przecież na słońcu gotować nie możemy!

— Ja wam dam innego drzewa na opał, tylko moich oliwek nie psujcie, odrzekł ów obywatel.

— Dobrze, mówię, ale zaraz dawaj! Don Sebastyan, bo tak się zwał ów mieszczanin, zaprowadził nas do miasta, do składu drzewa, kazał przynieść wagę i odważyć nam pięknego drzewa, ileśmy żądali.

To mnie bardzo zastanowiło, że ważą tam drzewo, jak u nas kupcy cukier i kawę. Później zmiarkowałem, że w Hiszpanii trudno o drzewo opałowe. Francuzi w potrzebie i deski nawet od trumien odrywali i zabierali. Nieraz posądzono ich o rabunek, lecz oni to czynili z potrzeby, nie ze swawoli.

Don Sebastyan został naszym magazynierem i dostarczał nam zawsze drzewa. Będąc często przy wadze, przymknąłem czasem oko, choć nie doważyło. To ujęło owego Hiszpana tak, że mnie wziął na bok i rzekł do mnie:

— Przy lasku oliwnym poznałem zaraz, żeś dobry, ludzki człowiek, a teraz przekonywam się o tem ciągle, dlatego proszę cię bardzo, żebyś dom mój uważał za własny. Ilekroć będziesz chciał, możesz zawsze przyjść do mnie, a ja ci niczego żałować nie będę.

Tak tedy według możności chodziłem często na posiłek do Sebastyjana i przyznać muszę, że mi dobrze było u niego.

Raz, przybywszy na wieczerzę do niego, usiadłem sobie w małym pokoiku, a wtem przychodzi Sebastyan i powiada mi, że dziś wyprawia chrzciny, bo żona mu synka powiła. Powinszowałem mu tego szczęścia i usiadłem znów osobno, bom się bał Hiszpanów.

Tymczasem goście schodzić się zaczęli do dużej izby, gdzie szykowano wielką ucztę. I mnie poproszono na nią, a Don Sebastyan powiedział gościom, że'm żołnierz polski, katolik; pocziwy człowiek z gruntu; dodał zarazem, ile ja mu łaski wyświadczyłem, że dziś byłby bez lasku oliwnego, tylko ja mu go uratowałem. Hiszpanie, gdy to wszystko usłyszeli, miło mnie przyjęli do swej kompanii.

Między gośćmi było wielu księży, a najlepiej pamiętam jednego grubego. Było tam także kilku milicyjantów, którzy mieli na sobie kurtki i spodnie nankinowe, a kapelusze na trzy rogi.

Wchodząc, skończyłem się wszystkim grzecznie i po polsku przywitałem ich mówiąc: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. A że słowa Jezus Chrystus prawie tak samo po hiszpańsku, jak i po polsku brzmią, więc mnie zrozumieli i pokłonili się nawzajem. Mówiłem zaś dlatego po polsku, choć mogłem ich przywitać po hiszpańsku, żeby im dać poznać, że'm Polak, a nie Francuz, bo Francuzów Hiszpanie bardzo nie lubili.

Miłą miałem zabawę na tych chrzcinach. Jedliśmy dobrze, a piiliśmy jeszcze lepiej. Dziwiło mnie tylko, wszyscy palili jedno cy-

garo, które sobie podawali, a każdy po kilka razy pociągnawszy, dawał je drugiemu; gdy się tak jedno skończyło, zapalili drugie.

Wszyscy sobie też dobrze podchmielili, a mnie tak się już w oczach dwoiło, że u lampy, co stała na stole, dwa knoty widziałem.

Księża przysiedli do mnie. Jeden z nich rzekł:

— Wiemy, żeś Polak i katolik, ale powiedz mi, jakie jest wasze nabożeństwo?

Ja tedy zacząłem im opowiadać o naszym polskim kościele, a oni często przerywali mi, mówiąc:

— To tak jest u nas.

Potem kazali mi mówić pacierz, a ja, widząc, że księża nie żartują, zacząłem po polsku: „W Imię Ojca i Syna, i Ducha św.” i mówiłem „Ojcze nasz, Zdrowaś, Wierzę w Boga”, aż skończyłem na „Żywot wieczny. Amen”. Oni też po hiszpańsku to samo mi powiedzieli.

Gdym mówił, to słuchali z największą uwagą, lubo Panu Bogu wiadomo, czy tam co zrozumieli. Dosyć, że im się podobało.

Po pacierzach zostawili mnie samego i poszli do reszty towarzystwa.

Siedziałem rozmarzony, myśląc jedynie, jak się do koszar dostanę.

Kiedy tak myślę, Hiszpanie naraz zaczynają narzekać. Ciekawy pytam:

— Cóż się to stało, że wy lamentujecie?

Jeden z nich odpowiada:

— Oto widzisz, nie wiemy jaki będzie los tego dziecięcia nowonarodzonego i szukamy pod jaką planetą się urodziło.

— A to głupstwo i grzech, moi panowie!

— Jak to głupstwo? krzyknęli wszyscy.

— A już ci głupstwo, bo u nas kiedy się dziecko narodzi, to się cieszą rodzice, komotry, krewni i przyjaciele, a wy tu płaczecie?

— A to wy głupi jesteście, bo jakże się można cieszyć, kiedy nie wiadomo, co z tego dziecka będzie i co mu złego zagraża?

— Ej, to trzeba Panu Bogu zostawić, rzekłem rozgniewany, a przyjął wesoło co dał. Już jeżeli płakać, to chyba za tymi, co pomarli.

Co ty gadasz, człowiecze? krzyknął jeden, aż mu się oczy za-iskrzyły. Umarły skończył swoje cierpienia, a zatem nie trzeba go płakać. Przynajmniej taka jest nasza wiara.

— To wasza wiara jest licha, rzekłem rozjątrzony, zrywając się ze stołka. Oni także powstali, wrzeszcząc z całego gardła:

— Nie wasza, lecz nasza wiara jest lepsza!

— Ja was przekonam, że to prawda. U nas w Polsce robimy, co Kościół święty nakazuje, a wy nie zawsze słuchacie Kościoła. Kiedy w Polsce post lub święto, pobożny katolik pości przykładnie i szanuje każdą uroczystość, a wy przeciwnie robicie. Odkąd jestem w Hiszpanii, widziałem nieraz, że w wielkie nawet święta, jeszcze się nabożeństwo nie skończyło, a wy dla zarobku różne roboty odbywacie; a co do postu, to wstyd powiedzieć, że nawet w piątek mięso jadacie. Tak więc lepsza jest nasza wiara!

— Nie nasza lepsza! wrzasnęły Hiszpany.

— Nieprawda! krzyknąłem zajadle.

— A to poganin! zawołał jeden zapalczywie.

— Tyś sam poganin! odrzekłem, zgrzytając zębami. Tu jeden dobywa sztylet i prosto do mnie.

Ja, choć nogi pode mną drżały, odskoczyłem na bok, a wtem pocziwy Don Sebastyan porwał mnie za kołnierz, widząc grożące mi niebezpieczeństwo, i wypchnął za drzwi. Nie wiem, jak zszedłem po schodach, ale to wiem, że prawie wytrzęziony wróciłem do koszar i dałem sobie słowo, że, póki życia mego, z Hiszpanami o wiarę kłócić się nie będę.

\* \* \*

Jednego razu przyszliliśmy do miasta Lubrin<sup>21</sup>, co znaczy ogień i dobrze nazwane; bo nam tam rzeczywiście gorąco było. Z trzech stron otaczają to miasto góry, a z czwartej woda. Jeden dzień minął spokojnie, na drugą noc rozłożyliśmy się na kwatery u mieszczan, a ci co mieli służbę, zostali na mostach. Komendant, rodem Francuz, z szesnastego pułku dragonów, mieszkał u księdza. My wszyscy nie mogliśmy cierpieć tego oficera, bo nas krzywdził. Brał pieniądze za mięso i wino, a nam kazał tylko dawać sztokfiszu. Zresztą był dobry do komendy; mimo to jednak byliśmy gotowi łeb mu skrócić przy pierwszej okazji. Ja, mając pięciu żołnierzy, stałem na górze

---

<sup>21</sup> Lubrin — miasto hiszpańskie w pobliżu Grenady.

blisko miejskiej bramy, dalej niejaki Bronowski z Sempolna, także z pięcioma, a jeszcze po górach były rozłożone inne placówki.

Przy rozpalonych ogniach siedzieli dokoła żołnierze i gwarzyli. Ja, stojąc ze sztucерem na czatach, jakieś złe miałem przeczucie i ciężko mi było na sercu. Noc była ciemna i późna, zdawało się, że wszystko śpi na świecie, a tu czasami słychać jakiś głuchy szcęk i stuk. Oj, myślę sobie, coś się tu święci! To nie bez kozery, Hiszpanie pewnie gotują zasadzkę!

Idę więc do placówki Bronowskiego i tam przyszedłszy, widzę, że jeden z moich, nazwiskiem Modrzeński, szewczyk z Poznania, opuścił posterunek i poszedł do drugich na gawędkę. Zgromiłem żołnierza i kazałem mu wrócić na swoje miejsce, a widzę, że Bronowski lubił łyknąć czasami, mówię do niego: „Na Boga żebyś mi dziś nic nie pił, bo te ciarachy<sup>22</sup> chcą nam pewnie kurtę skroić”.

Bronowski dał mi słowo, że pić nie będzie. Ostro upominał swoich żołnierzy, aby się mieli na baczności, a ja wróciłem do swoich.

Zegar w mieście uderzył właśnie dwunastą. Słyszę, że coś sapie i stęka pod górą. Zbiegam na dół i spotykam chłopca z osielkiem, opakowanym w wory skórzane. A dokądże tak późno? pytam. Wiozę wino do magazynu i chętnie poczęstuję. Weź pij, dobre winko. Zabieram go tedy i prowadzę ze sobą, a przybywszy na placówkę, kazałem mu otworzyć owe wory. Prawda, były to wory ślicznego winka, które już z dala pachniało, zwłaszcza nam, w nocy na warcie stojącym.

— Pij sam pierwszy, mówię do chłopca, to i my się napijemy, bo żołnierz dobry niczem nie gardzi; kiedy bić to bić, a jak pić to pić.

— To nie zatrute wino, pijcie, panowie, prosi chłop. — Pij wprzód ty, to zobaczymy, czy nie zatrute. — On łyknął dobrze. Ja przeto pociągnąłem także nieźle i kolegom kazałem się napić, ale miarą.

Bronowski też łyknął porządnie, bo, prawdę mówiąc, winko było paradne. Aby jednak oddalić pokusę, kazałem chłopcu ruszać sobie do miasta, co też on uczynił, ale jakoś leniwo. Zdrajca, rachował na to, czaty zabiorą mu wino i że się popiją. Ale dzięki Bogu, nic z tego nie było.

Po odejściu chłopca, wróciwszy na stanowisko, słuchołem pilnie uchem natężonym nieprzyjaciela. Znowu słyszę jakiś szmer i szcęk.

<sup>22</sup> Ciarachami nazywali Polacy chłopów hiszpańskich.

Schodzę na spód góry, wytrzeszczam oczy dokoła i odsuwając ogromne liście figowych drzew, co je morskimi zowią, spostrzegam w ciemności chmurę ciarachów, jakby jakie pole makówek. Bez namysłu palnąłem ze sztucera i dalej cofam się. Oni też zaczęli za mną strzelać, ale kule świstały nad głową, a jam zdrowo uszedł na górę.

Nasi już stali w pogotowiu i dali ognia w powietrze, na postrach, nikt nas bowiem nie atakował.

Wkrótce usłyszeliśmy zgiełk w mieście. Hiszpanie wpadli tam z przeciwnej strony i najpierw zajęli dom proboszcza. Komendant, który u niego miał kwatery, ledwie z życiem uciekł, za pomocą księdza, a jego ordynansa w kawałki rozsiekali. Tymczasem nasi, po kwaterach leżący, zaczęli się zbierać na rynku. Słychać już było straszliwe wrzaski i głośne strzelanie. Patrząc ku bramie, a tu pędzi komendant z gołą głową na otwarte pole. Gdy przybył do nas, nie mieliśmy nawet czasu zapytać o rozkazy, bo w tej samej chwili mnóstwo Hiszpanów ujrzelśmy za sobą. Palnęli nas, ale tak blisko, że już nie kule, co poszły górą, ale sam płomień nas uderzył. Powalony na ziemię, stoczyłem się na sam spód góry; macam się wszędzie, ale widzę, że mi się nic złego nie stało. Myślę, co teraz począć? Aż oto słyszę w pobliżu jakieś francuskie narzekanie: „O mon Dieu, mon Dieu!” Idę za głosem i znajduję potłuczonego komendanta, siedzącego w krzaku, który wciąż swoje: „Mon Dieu” powtarzał! Wzięła mnie ochota pomścić się krzywd naszych, bo to on brał pieniądze na mięso dla nas, a dawał nam niemiły sztokfisz. Jużem podniósł rękę, ale mnie Bóg natchnął Duchem Świętym i pomyślałem sobie w tej samej chwili: Człowiecze, cóż ci z tego przyjdzie? Ty sam możesz lada chwila zginąć, jakże więc staniesz na strasznym sądzie Boga?

Uderzyłem się w piersi, splunąłem na pokusę i ciężko westchnąwszy, podziękowałem Panu Bogu natychmiast, że mi nie dopuścił spełnić zbrodni. Zbliżyłem się do komendanta i udając, że go nie poznał, pytam po hiszpańsku: „Kto tu?” A on mi odpowiada po francusku, widząc na mnie mundur francuski: „Jestem Francuzem, komendantem”.

Podniosłem go więc i mówię: „Panie komendancie, źle z nami!”

— Żeby się tylko do miasta dostać, odpowiada mi.

Wziąłem go za rękę i tak obaj dążyliśmy ku miastu. W bramie, ledwieśmy się przedarli, taki był natłok wchodzących i wychodzących. Nasi z górnych placówek już tam byli pospieszyli, za nimi zaś

ze wszystkich stron cisnęli się Hiszpanie. Wśród ciemnej nocy trudno się było rozpoznać. Na rynku bój wrzał zacięty. My, razem zebrani, broniliśmy się jak lwy. Komendant stracił głowę zupełnie. Sami więc, bijąc się do upadłego, komenderowaliśmy sobą, cofając się ku bramie, aż szczęśliwie, odstrzeliwując się ciągle, wydostaliśmy się za miasto.

Tymczasem Hiszpanie, z których jedni byli już w mieście, inni z gór zbiegali i strzelali, myśląc, że my wciąż na rynku, bili się sami ze sobą wśród nocy aż miło. Dopiero, gdy świtać zaczęło i my już byli uszli z mile na powrót ku Tawernie, poznali Hiszpanie swój błąd, że się sami ze sobą pobili i poczęli nas ścigać. Dogonili nas wprawdzie, lecz nam już szkodzić nie mogli.

\* \* \*

Raz poszliśmy z Tawerny do Lorki i do Murcyi. W tem ostatniem mieście zastaliśmy dwie hiszpańskie armaty wałowe i ogromną moc ładunków. Dostaliśmy rozkaz, aby armaty zagwoździć i z wałów porzucić, cośmy też uczynili. Później kazano nam topić ładunki hiszpańskie, bośmy ich ze sobą zabrać nie mogli, a lada chwila mogła przyjść moc Hiszpanów i odebrać nam miasto, zanim armia nasza za nami nadbiegła. Topiąc tak we wodzie owe ładunki, usiadło nas trzech Polaków w cieniu, bo był upał nieznośny.

Gdy tak siedzimy i odpoczywamy, przychodzi jakiś ksiądz świecki do nas i pyta po hiszpańsku:

— Coście wy za jedni?

— Polacy, odpowiadamy.

A on na to: „Ja też Polak! Lat dwanaście jak bawię w tym raj; prócz ptasiego mleka niczego mi nie brak, jednak mi tęskno za swoimi i chciałbym mieć aby jednego rodaka przy sobie”.

Wtem nadbiega oficer francuski i zawołał: „Allons, au travail!” to jest „Dalej do roboty!” My więc do roboty, a ksiądz zniknął i jużem go więcej nie widział. Często jednak postać tego księdza stoi mi przed oczyma i zda mi się, że jeszcze głos jego słodki, a żałosny słyszę.

\* \* \*

Wróciwszy do Tawerny, odpoczęliśmy dwa tygodnie, potem poszliśmy do Bazy (w Granadzie) na pomoc Francuzom, których tam

Hiszpanie w oblężeniu trzymali. Odpędziliśmy Hiszpanów na dwie mile i sami w tem mieście zostaliśmy przez cztery miesiące.

Piękne to miasto; ma śliczne kąpiele, ogrody przecudne i wyborne, owoce różnego rodzaju, a najwięcej apryków. Wyrabiają tam także dużo jedwabiu.

Nasza kompania stała na przedmieściu, za kościołem św. Józefa, który był piękny, ale Francuzi trochę go zrabowali.

Jednej nocy, gdy rozstawiono strażę, dziesięciu z naszych, ustawwszy broń w kozły, stało sobie, czuwając i gwarząc. Wtem widzimy, dwóch ludzi skrada się do naszego obozu. Dwa razy zasadziliśmy się na nich i dwa razy nam uciekli. Dopiero trzeci raz, gdyśmy się zaczęli w bramie kościelnej, dostaliśmy ich. Jeden z nich był ksiądz, uzbrojony w karabin, drugi zaś chłop z długim nożem. Ksiądz prosił, abyśmy go puścili, że nam da pieniądze, ile zechcemy. Aleśmy na to nie przystali, tem bardziej, że się zdarzało, iż gdy żołnierz wziął pieniądze od Hiszpana, to ten go potem u starszych zaskarżył i żołnierz ciężko za to bywał karany. Oddaliśmy więc obu do generała Sebastianiego, który ich kazał sądzić. Przyznali się, że chcieli zabić choćby jednego Francuza. Sąd wojenny skazał ich na szubienicę. Odprowadzeni do Kadyksu<sup>22</sup> niedługo czekali spełnienia wyroku.

Na rynku postawiono nas w trzy szpalery, za nami zaś tysiące ludu się zebrało. U kraty jednego domu, przed naszym frontem, powieszono księdza i chłopą, pierwszego z karabinem w rękę, drugiego trzymającego nóż. Ksiądz się urwał i spadł na bruk, ale go znowu wciągnięto, i gdy go powtórnie wieszać chcieli, prosił o pozwolenie mówienia. Pozwolono mu przemówić, a on rzekł do zgromadzonego ludu: „Bracia kochani, gińcie wszyscy za naszą świętą ojczyznę, a nie dajcie się tym poganom!”

Po tych słowach zarzucono mu powróż na szyję i skończył biedak na szubienicy. Mnie się jednak tak żal zrobiło tego księdza, że zapłakałem. Boć źle zrobili, że księdza powiesili. Był to sługa Boży, Pana Jezusa piastował tyle razy na rękę swoim. A że się bronił, to nie dziw; bo któż by nie bronił wiary świętej i Ojczyzny! Lud też za księdza ogromnie się oburzył na nas i mścił się, gdzie mógł, a nas

---

<sup>22</sup> K a d y k s (Cadiz) — miasto w pld. Hiszpanii, port nad Atlantykiem.

widocznie sam Bóg za to ukarał, bośmy się wszyscy później dostali do niewoli.

\* \* \*

Odebraliśmy rozkaz udania się ku Maladze<sup>24</sup>. W marszu, blisko wsi Gogolis, zastanowiło mnie, że po obu stronach bitej drogi były domy podziemne, a do nich prowadziły tylko jedne drzwi u góry, szklane, niby okno jakie, któremi po schodach schodziło się na dół do domu. Wszystko pięknie urządzone, a cukrów rozlicznych ogromna moc, bo sami cukiernicy tam mieszkali. Dość było tylko popatrzeć, a już się człowiekowi słodko robiło. Nad tymi zaś sklepami były stodoły, do których w czasie żniw, na mułach i osłach, zboże z pola zwozili i na bojowicę składali. Potem nagnano mułów i osłów, które musiały tańcować i drepcić. Takie drepcenie jest u nich młóceniem.

Pod Malagą zebrało się około pięćdziesiąt tysięcy Francuzów i Polaków. Tu dopiero nastąpiły szturm i bitwy.

Hiszpanie od dawna się już tu na nas przygotowali. Wszystko chwyciło za broń: chłopcy, księża, kobiety, a nawet małych chłopców widziałem z flintami. Trzy razy nas odparli, dopiero za czwartym uderzeniem zdobyliśmy miasto. Na ulicach jeszcze rzucano z okien na nas kawały żelaza i różne pociski, war nawet na głowę lały nam kobiety. Taki naród, pomyślałem sobie, co się tak broni i razem trzyma, pewno nas zwycięży. I zgadłem.

Blisko miasta jest góra, którą Hiszpanie ogromnymi obsadzili armatami. Te najwięcej nam szkodziły i dopiero, gdy je nasi ułani zabrali, łatwiej nam szturm poszedł.

W Maladze zostawiono oddział Francuzów i Polaków pod komendą księcia Sułkowskiego, a nas strzelców odkomnederowano trzy mile dalej.

\* \* \*

Przez dwie niedziele chodziliśmy po górach i biliśmy Hiszpanów rozpierchłych, ale na psa taka wojny, gdzie żołnierz regularny musi się bić z całym ludem; bo tu ich wypędzisz, a oni już znowu

---

<sup>24</sup> Malaga — miasto w pld. Hiszpanii, port nad Morzem Śródziemnym.

są. Żołnierz się zmarnuje, ale tylko tyle ma podbitego kraju, ile go ma pod nogami swojemi, a jak odjedzie, już nie jego.

Potem przeszliśmy z tej strony Malagi i stanęliśmy w Antekera<sup>25</sup>. Stąd udaliśmy się na pomoc Francuzom ku Rondo, gdzie ich Anglicy byli oblegli.

Na nieszczęście w drodze trafiliśmy na moc Hiszpanów, którzy naszą kompanię bez strzału puścili, a potem z przodu i z tyłu nas obkoczyli. Tu nastąpiła okropna potyczka. Jasielski, szef naszego batalionu, dwa razy ranny, zachęcał do obrony, aż wreszcie sam zginął.

Tak samo adiutant, poczciwy Imberowicz, poległ. Panie świeć nad ich duszą! Tylko trzystu nas zostało. Zamiast tedy iść do Rondo, musieliśmy się cofnąć. Przez trzy dni i trzy noce błakaliśmy się po górach, najwięcej ciągnąc nocą po kryjomu, aż przecież po tysięcznych trudach i niebezpieczeństwach doszliśmy do swoich, do Antekery.

\* \* \*

Spod Antekery poszliśmy do Granady. Tu kompletowano bataliony. Nasza kompania dostała dość rekrutów od cesarza. Potem robiliśmy Józefowi Napoleonowi<sup>26</sup> wielką paradę, tak że nawet Hiszpanie wołali: Vive Josef Primero! Ale cóż to pomogło, kiedy w duszy myśleli tylko, jakby nas wszystkich razem z Józefem, albo przynajmniej którego z nas zamordować. Podstąpili nawet ze swoją konnicą pod samo miasto. Józef wykomenderował nas wołtyżerów i sześćdziesiąt koni dragonów i odegnaliśmy ich, ale już i noc nadeszła. Odpoczęliśmy trochę na górze, a że, byliśmy głodni, więc kapitan nasz, Bote, który wstąpił na miejsce Jasielskiego, i feldfelbel Plantowski, rodem z Kowala, kołodzieja syn, kazali mi iść z kilkoma żołnierzami szukać żywności w pobliskiej wsi. Znaleźliśmy trochę wina, chleba i mięsa i przynieśliśmy do obozu.

Nazajutrz, ledwo świtać zaczęło, ruszyliśmy do miasteczka Padul, bo dano nam rozkaz, żebyśmy koniecznie do Motryla nad morzem patrol zrobili. W Padul zastaliśmy mnóstwo Hiszpanów, konnicy

---

<sup>25</sup> Antequera — miasto hiszpańskie w Andaluzji.

<sup>26</sup> Józef Bonaparte (1768—1844) — brat cesarza Napoleona I, w latach 1808—1813 król Hiszpanii.

i piechoty, lecz ci, skoro nas ujrzeni, z takim popłochem uciekali, że się naprawdę za nimi kurzyło. Na rynku zostawili masę wina, chleba i wszelkiego jedzenia, które pewnie dla nich przygotowano, żeby ich uraczyć. Przydało nam się to bardzo. Pokrzepiwszy się więc niezłe, podziękowaliśmy Hiszpanom pięknie, że nam taką ucztę sprawili i dalej za uciekającymi. Półtorej mili za miastem Padul, nad rzeką, stawili nam opór. Długo uganiałiśmy się za nimi, zwłaszcza, że mostu nie było, tylko musieliśmy iść w bród po pas, zezuwszy buty i spodnie, gdy tymczasem nasi nad głowami naszymi prażyli Hiszpanów. Trwała przez trzy godziny żwawa trzepanina, po czym oni znów w nogi, a my za nimi aż do miasta Aharun, w górach, skąd już tylko trzy mile było do Motryla.

W Aharun, obstawiwszy warty naokoło po krzakach, których tam rosło bardzo dużo, poszliśmy o samym zmierzchu szukać żywności. Niestety chciało, że prawie zawsze mnie wykomenderowano z kilkoma żołnierzami szukać żywności.

Nieraz prosiłem kapitana, u którego co prawda miałem łaski, że jestem strudzony, ale on zawsze odpowiadał mi z uśmiechem:

— Ty mówisz dobrze po hiszpańsku i jesteś szczęśliwy z tymi ciarachami, idź więc! I dla nas i dla siebie znajdziesz tam co dobrego. Jakżeż było nie iść? Idę, wchodzę do miasta, wszędzie ciemno jak w miechu, pusto i cicho; żywej duszy nie ma! Szukamy po domach i nic znaleźć nie możemy. Nareszcie w jednym domu spotykamy jakiegoś siwego staruszka, siedzącego na wielkim krześle.

— Buonas tardos Sennor, co znaczy: „Dobry wieczór, Panie”, mówię do niego grzecznie. Odpowiada mi i on bardzo łaskawie.

— Nie ma tu co do jedzenia? bośmy głodni. Rabować nie chcemy, tylko tyle wziąć, ile nam konieczne na posilenie się potrzeba.

Nie ma nic, mój panie, odrzekł starzec.

Ja go proszę jeszcze raz, a on znowu odpowiada, że nic nie ma!

— Wszyscy w góry uciekli i co mieli z sobą zabrali, dodał.

— Mentera cerachu łiesz, dawaj albo się po wojskowemu z tobą rozmówię. Jak nie dasz, to cię wezmę z sobą do obozu, a tam gałęzi dla ciebie dosyć, bo ostrza naszego na twoich starych gnatach tępic nie będziemy! Dopieroż w strach ów starzec pokazuje nam dom, pełen mąki, gdzieśmy i różne naczynia piekarskie znaleźli. Wzięliśmy się do pieczenia chleba i zanim dzień zaświtał, każdy z żołnierzy dostał spory bochenek.

Staruszek zaprowadził nas potem do ogrodu, gdzie było kóz pełno. Każdy z nas brał po jednej, rznął i piekł jak umiał. Tak nasyiliśmy wszystkich, a o świcie ruszyliśmy ku Motrylowi.

Wkrótce spotkaliśmy Hiszpanów, którzy most murowany na jednej rzece osadzili i nie chcieli nas puścić, aleśmy ich przeparli. Trochę dalej raz nam jeszcze zabiegli drogę, ale i tą razą udało nam się ich odeprzeć. Odtąd bez przeszkody dążyliśmy prosto do Motryla<sup>27</sup>, dokąd i drugi oddział Francuzów w tym samym czasie miał przybyć i z nami się połączyć.

\* \* \*

Weszliśmy z radością do miasta, w nadziei, że tam już Francuzów zastaniemy, tymczasem zawiedliśmy się grubo. O Francuzach ani słycho - a tu ze wszystkich stron zaczynają się wychylać Hiszpanie, a gdzie jeno nasi stąpną, zaraz do nich walą jak do dzików.

Tak tedy osaczeni szukaliśmy schronienia po kątach miasta, tłukąc się po ulicach między domami.

Przed wieczorem komendant wysłał nas na wysokie wieże kościołów i każe patrzeć ku Almeryi, czy sukurs nie idzie. Sam patrzył przez długą perspektywę, lecz nikogo nie było widać.

Noc nadeszła. Ognie Hiszpanów było widać z trzech stron, a czwarta tylko od morza była wolna. Okropnem było nasze położenie! Komendant skłopotany zawołał nas wszystkich i rzekł:

— Dzieci, źle będzie z nami. Tłumy nieprzyjaciół nas obległy, a nasi nie przyszli. Do rana czekać niepodobna. Po cichu więc trzeba się wynieść z tego przekłętogo miejsca.

Co komendant mówił, to każdy z nas już pierwej myślał. Gorzko nam było, że nas niepotrzebnie wpędzili do takiej matni, ale cóż? musieliśmy milczeć, bo żołnierz słucha, nie rezonuje.

Na rozkaz komendanta ruszyliśmy jedyną drogą, jaka była wolna, żeby się jakoś wymknąć. W ciemnej nocy szliśmy tą drogą - aż tu o kilka staj morze!! I jakże teraz będzie? - Darmo, trzeba wracać z powrotem. Trzy razy wracaliśmy do miasta. Gdyśmy po raz czwarty nad morzem stanęli ustąpiło ono na kilka staj, zaczyna się strasznie błyskać i deszcz gęsto zaczął padać. Po piasku więc, nad brzegiem morskim, wymknęliśmy się po cichu i forsownym marszem uciekliśmy co żywo.

<sup>27</sup> Modril - miasto hiszpańskie w Andaluzji, nad Morzem Śródziemnym.

Czaty i ognie hiszpańskie tak były blisko, żeśmy wyraźnie twarze ich widzieli. Nikt tam nie spał - owszem, wszystko się krzątało - jedni kładli drzewo na ogień, drudzy siedzieli, inni chodzili i rozmawiali. My tymczasem posuwaliśmy się cicho na piasku, coraz dalej i dalej, aż nareszcie umknęliśmy.

Już dostaliśmy się na jedną górę, może z milę od Motryla, gdy zaczęło świtać.

Tymczasem Hiszpanie zmiarkowali naszą ucieczkę i począł się między nimi gwar wielki, który daleko było słyhać. Jakoż niezadługo puścili się za nami i przyszedli do onej góry.

Strach mnie jeszcze dziś bierze, gdy sobie przypomnę tę moc wojska i owe chmury nieprzeliczone ciarachów, które nas zewsząd oblegały.

Było to dwudziestego sierpnia. Staliśmy na górze, mając morze za plecami. Jenerał hiszpański Kondo, czy Konko, zaczął do nas szturmować.

Po kilka razy wdzierali się na górę, ale my ich zawsze zepchnęli.

Mieliśmy dwie armatki, któreśmy wozili na mułach - z tych armat tęgośmy grzmocili. Od rana do południa ogień rześisty jak grad się sypał; broniliśmy się do upadłego.

Ale cóż, kiedy po południu zabrakło nam amunicyi. Byli tacy, co już ani jednego naboju nie mieli przy sobie, inni - jak i ja - mieliśmy po jednym. - Aleć Hiszpanie zrejterowali, bośmy im nakładli trupa co niemiara, bo i kamienie, i drzewa, i co się dało zrzucaliśmy z góry naszej na nich, a ich kule, tak armatnie, jak i karabinowe, szły górą nad nami i tylko kilku dzielnych żołnierzy nam zabili.

Gdy się Hiszpanie cofnęli, odetchnęliśmy trochę. Wtem nasz kapitan Bote i porucznik Antosiewicz zawołali mnie do siebie i rzekli:

— Pod górą stoją dwa osły, idź i przyprowadź je tutaj, bo ranych zabierzemy i pójdziemy dalej.

Ruszyłem tedy na dół z drugim żołnierzem, co się zwał Kurczewski, a był rodem z Łowicza. Przyszliśmy do ładnego domu, gdzie była długa altana winogronami okryta, a przed tą altaną stały owe osiełki. Ledwieśmy weszli do owej cienistej altanki, aż oto wychodzi gospodarz i pyta:

— Czego chcecie ludzie?

— Przyszliśmy po te dwa osły, co tu stoją - odpowiedziałem.

— To są liche osły moich ludzi, ale chódźcie do izby a ja wam

każę moje własne przyprowadzić, które daleko są lepsze. Idziemy tedy do izby.

Ale gospodarz pyta nas w pierw łagodnie: „Nie zjedlibyście czego, albo nie wypilibyście wina? Ja mam różne wina: czerwone, białe, młode, stare, jakie chcecie, dam wam”. Nam dwa razy nie trzeba było mówić, bośmy od wczoraj wieczór nic nie mieli w ustach.

Kazał nam dać winka wybornego, które mi jeszcze dziś smakuje, i usmażyć jajecznicę. Jeść nie było czasu, ale jednak trochę się zjadło i to tak, że gdy jeden jadł, drugi przy drzwiach wartował. To się gospodarzowi nie podobało: prosił więc, żebyśmy byli spokojni - po co warta? ale widocznie nas zatrzymywał, bo znów kazał dziewczynie przynieść sera koziego i innego wina. Ja pytam o osły, a on mnie zbywa, że zaraz przyjdą.

Tymczasem na górze zaczynają się znowu bić. Byliśmy w gorą-czce. Aż tu słyhać i od morza strzelanie. - Pytam gospodarza: co to znaczy? A on mi odpowiada, że to chłopcy strzelają sobie króliki i zające. Ja jednak mignąłem na Kurczewskiego, aby się miał do odwrotu. Dziewczyna wraca z winem i serem. W tej samej chwili wpada do izby dwóch naszych żołnierzy i wołają:

— Na Boga, kapitan nas posyła, żebyście zaraz wrócili! Ja tedy biorę wino, a krąg ogromny koziego sera rozkrawam na czworo i każdy z nas pakuje część do sakwy. Potem zabrawszy oba osielki, co stały pod altaną, wynosimy się czem prędzej.

Na podwórku było mnóstwo drobiu, a szczególnie śliczne kaczki i indyki. Moi koledzy dalejże za nimi - jak zaczęły gonić i machać pałaszem - a gospodarz patrzy z boku.

Ja mówię:

— Moi bratkuwie, głupstwo robicie! Śmierć przed nami, a wy się bawicie jak dzieci! Co tobie po kaczce lub indyku? Gdzież je będziesz piekł lub jadł, kiedy sam nie wiesz, czy doczekasz wieczora? E, dajcie pokój drobiowi. Żołnierz ma pałasz na nieprzyjaciela, nie na kaczki lub indyki.

Wiarusy poskrobały się trochę, żal im było, ale usłuchali mej rady.

Gospodarz poznał widać to moje zgromienie kolegów. Już wychodziliśmy z podwórka, a tu mnie ktoś klepie po ramieniu. Oglądam się i widzę gospodarza. Ten ścisnąwszy mnie za rękę, szepnął mi do ucha:

— Zostań w moim domu!

— A to czemu?

— Jeżeli ci życie miłe, zostań w moim domu!

— Ale czemu mam zostać?

— Patrz, od morza ciągnie dziewięć tysięcy chłopów, a drugie tyle wojska regularnego od rana was oblega! Patrzę, patrzą i drudzy, a tu istotnie wielka chłopów rzesza, jak szarańczy, już blisko nas - aż mrowie po nas przeszło. Porwaliśmy się jak oparzeni z miejsca i dalej do naszych!

Gospodarz woła:

— Ani jeden z was nie ujdzie! wszyscy zginiecie. Ja poprawiłem kaszkiet na bakier i rzekłem:

— Ej, co tam! Już mi się nieraz upiekło i teraz upieczcie.

Byłem zuch, ale pewnie to dobre wino nie miało się do tego przyczyniło. Bądź jak bądź, nie dałem się zbałamucić. Wdrapaliśmy się z osłami na górę. Wnet wybiega kapitan z porucznikiem i pytają, czy mamy co ze sobą? Dajemy im wina i sera, na które jak głodne wilki się rzucili. Grzmot, dym, wrzask i same kule nie przeszkadzały im w jedzeniu. Jedli sobie smacznie i spokojnie, jakby na chrzcinach lub weselu. Bo w tej wojnie hiszpańskiej tak ludzie się oswoili ze śmiercią, że nikomu na myśl nie przyszło strachać się czego, chyba jednej niewoli.

Podczas kiedy oni jedli, ja opowiadam, com słyszał od owego gospodarza i com widział na własne oczy. Kapitan machnął ręką, mówiąc:

Ej, to baśnie mospanie! Zwyczajnie Hiszpan chce nas nastraszyć i gada o tysiącach, których nie liczył.

Antosiewicz zaś, porucznik, dodał:

— Nie daliśmy się dotąd i diabeł by nas stąd nie ruszył, gdybyśmy mieli ładunki - ale i tak się nie damy tej hałastrze!

Ledwo to wymówił, aż tu przybiega sam komendant, zmieszany, i każe nam patrzeć ku morzu. Patrzymy - widać rybaków, jak obok swych łódek sieci rozwieszają, a dalej za nimi mnóstwo łodzi, które spieszą do lądu.

— To pewno Anglicy, mówi komendant - powiedziano mi, że to Anglicy.

— Cóż teraz poczniemy? pyta kapitan.

Komendant odpowiada:

— Na górze zostać nie możemy, ale zejdziemy na dół i tam uszykowani bronić się będziemy.

— Ale czym? zagadnął kapitan, kiedy nie mamy amunicji?

— Darmo, rzekł komendant, wruszając ramionami.

— Toć już chyba na zgubę schodzimy z tej góry, z której, by nas nie tak prędko Hiszpanie zepchnęli, szepnąłem porucznikowi Antosiewiczowi - bo przecież na górze prędeż utrzymalibyśmy się jakiś czas; a może też i nasi nadbiegną.

Ale komendant kazał czym prędeż schodzić z góry.

Lubo niechętnie, zeszlśmy na dół. Niebawem opadły nas roje Hiszpanów jakby szerszeni. Nie była to już walka, ale prosta szturchanina. Biliśmy się, co nam sił starczyło. Ale to nic nie pomogło, bo ich mogło być po sześćdziesięciu na nas jednego, i to jeszcze na nieszczęście nie mieliśmy ładunków. Bo gdybyśmy byli mieli ładunki, bylibyśmy sobie dobrze z nimi dali radę i z góry bylibyśmy sobie do nich palili jak do wróbli. Ale tak, braliśmy ich na bagnety, aż nam wreszcie i sił brakło i ustaliśmy, wołając: Pardon, pardon!

Ale nie dali nam pardonu, za to żeśmy ich - choć nas tak mało było - dużo nażgali, tylko tłukąc nas zemdliałych już prawie zupełnie kolbami, gnali nas ku Motryłowi. Wpędzili nas na jakieś wilgotne miejsce, gdzie rosła bawełna. Tu dopiero w fatalnej bawełnie zaczęli do nas sypać ogniem plutonowym.

Nasze wiarusy, nie mogąc się bronić, padali jak muchy. Gdzie się obejrzę trup - zewsząd słycać polskie „O Jezus!” wychodzące z ust padającego od strzału lub bagnetu.

Nasz komendant, który nam taką łaźnię sprawił, bił się wprawdzie do upadłego ze swymi dragonami, lecz widząc, że nie ma ratunku, straciwszy kilkunastu, drapnął z resztą konnicy do Granady, a nas biedaków w bigosie zostawił.

Już teraz było szaleństwem się bronić, wołamy więc: pardon! Hiszpanie, uradowani, że się poddajemy, dali nam wreszcie pokój i popędzili jak trzodę bydła do Motryla - do niewoli.

## V.

### Niewola hiszpańska i angielska



Smutno mi opowiadać o mojej niewoli. Bo żołnierz, dopóki z bronią w rękę i dopóki się bić może, ma minę jak pan, choć jeść nie ma czasem co, ale odkąd dostanie się do niewoli, to mu życie nie-miłe. Tak było i ze mną.

W Motrylu zamknięto nas wszystkich na jednym cmentarzu. Wpierw odarto nas ze wszystkiego, nawet z odzieży. Na niektórych ani koszuli, ani spodni nie zostawiono. Ja, Kurczewski i niejaki Prożyński z Łowicza, staliśmy pod murem zupełnie nadzy, jak nas Bóg stworzył.

A tu upał nieznośny, a tu ludu wielka moc, jakby na teatr zbiegła się, by nas wyśmiać i sponiewierać.

Na domiar złego tak obdartych przegnano nas w dzień biały przez całe miasto tam i na powrót, na pośmiewisko większe ludu. Bogu tylko wiadomo, ilem wstydu wyżył. Spuściłem oczy ku ziemi i modliłem się cicho do Boga, aby mnie wybawił od tej hańby i sromoty lub zabrał z tego świata. Gdybym był miał broń w rękę, byłbym uderzył na wszystek lud i całe wojsko, ażeby zginąć, albo trupem ratować się od wstydu. Ale darmo, nie szło.

Gdy tak stoimy pod murem, przybył też nas oglądać jakiś hiszpański generał w stosownym kapeluszu. Szedł przed naszym frontem. Gdy stanął przede mną, wzniosłem ręce do góry, wołając po hiszpańsku: „Panie /jenerale, zlituj się wszak pies ma przynajmniej ogon, by nagość swą pokryć!”

Jenerał, słysząc hiszpańską mowę z ust moich, szturchnął mnie w pierś ręką tak mocno, że byłbym upadł na ziemię, gdyby nie mur cmentarza, i krzyknął ze złością:

- Toś ty Hiszpan, a trzymasz z Francuzami?
- Nie, panie jenerale, ja nie Hiszpan, lecz Polak!
- Skąd więc umiesz tak dobrze po hiszpańsku?
- Przez lat kilka już bawiąc w tym kraju, nauczyłem się waszego języka.

— A skąd ty rodem?

— Od Poznania, panie jenerale, jestem Polak, katolik.

Widać, że go nasze nieszczęście nieco wzruszyło, bo zaraz nam kazał przynieść kurtki i krótkie spodnie, na jeden guzik z boku zapinane, jak to dawni Polacy nosili. Mnie i kurtka, i spodnie były za małe. Pozostał mi więc goły pas ciała w samym stanie jak dłoń szeroki i tak chodziłem jak żebrak najgorszy przez dwadzieścia i jeden dni. - Jednakowoż takiej radości nie pamiętam w życiu, jak wtedy, gdym trochę tej odzieży zarzucił na biedne ciało moje. Jużem śmieiej patrzył na ludzi, na słońce i na ten świat Boży. Nie-<sup>1</sup> długo potem przyszedł rozkaz, żeby nas wsadzić na okręt i zawieźć do Alikanty<sup>28</sup>. Wzięto nas tedy i zawieziono głodnych na łodziach do okrętu.

W tej samej chwili gdyśmy odpływali, powieszono w mieście Wyszyńskiego z Mosiny i czterech innych naszych. Nadszedł też właśnie wtedy mocny oddział Francuzów od Almeryi, ten właśnie, na któryśmy czekali, a który się spóźnił, bo w drodze był zatrzymany przez Hiszpanów. Z powieszonych Polaków Wyszyńskiego i jeszcze jednego zdołali uratować, ale trzech innych już zastali udużonych. Nam przybycie Francuzów nic nie pomogło. Przyszli dwie godziny za późno. Płynęliśmy więc jako więźniowie na hiszpańskim okręcie. Okropnie się z nami obchodzono. Zamknęli nas w owym okręcie do ciasnej komórki jak śledzie w beczce. Upał był taki, że się zdawało, iż w tem ciężkiem i gorącym powietrzu człowiek albo się udusi, albo spalić musi. A tu ani kropli wody, ani kawałka chleba, ani żadnego pożywienia najmniejszego nie dali. Niektórzy już tak byli zemdleni, iż ruszyć się nie mogli, jeno leżeli na wpół umarli. Bo też pierwsze dwa dni nie mieliśmy w ustach ani kropli wody, a pragnienie na morzu w tym upale było wielkie. Dopiero trzeciego dnia pod wieczór, gdy widzieli, że już ledwie żyjemy, posłali po słodką wodę. Między innymi kazano i mnie jechać po wodę, bo miałem jeszcze dosyć sił. Byłem zaś mocniejszym od drugich moich kolegów, dlatego drugiej nocy pobytu naszego na owym okręcie, zaczęło mnie palić takie pragnienie, że na żaden sposób zasnąć nie mogłem. Szukałem więc chłodnego miejsca, żeby przynajmniej rękę ostudzić. Nie wiedząc sobie rady, wyszedłem po

---

<sup>28</sup> Alicante — miasto w Hiszpanii (Walencja), port nad Morzem Śródziemnym.

cichu na pokład z naszego ognistego pieca. Tu szczęśliwie namacalem beczkę z wodą, której pilnował żołnierz. Po cichu wyjąłem szpunt i przyłożyłem usta do picia. Ach piłem i piłem, a żaden miód na świecie nie mógł być słodszy i miłszy od tej wody! Zdawało mi się, że całą beczkę wypiję, i kto wie, czybym jej nie był wypił, gdyby nie strażnik, który mnie tak uderzył kolbą w grzbiet, że na złamanie karku do naszej komórki z pokładu zleciałem. Bolały mnie kości, ale cóż to szkodziło, kiedym się tak uraczył, jak nigdy w życiu! Wzmocniwszy się w ten sposób, byłem silniejszy na nogach od innych.

Ale głód mi dokuczać zaczął straszny, bo przez całe trzy dni krzepiłem się tylko cebulką, którą znalazłem na okręcie i z niej co dzień po trosze ugryzałem. Szczęście chciało, że mnie posłano po ową wodę na ląd. Ucieszyłem się, wysiadając na ziemię, gdym ujrzał, że hiszpańska rybaczka miała chleb w rękę i poczęła go krajać i dawać innym. Biegnę najpierw do niej co ducha i proszę też o kawałek chleba, bo, mówię do niej, że już trzeci dzień jak nic nie jadłem. Ulitowała się nade mną poczciwa kobiecina i zaczęła płakać nad biedą naszą, mówiąc, że i ona ma syna u wojska i nie wie, co się z nim stało. Ale, gdy mi już ów chleb kraje, przypada Hiszpan i woła na nią:

— Nie dawaj, bo oni księdza zabili w Motrylu! Mnie wtenczas w duszy aż pikać zaczęło, bo takem się cieszył na ów kawałek chleba, a nie dostałem nic.

Kto nie uczuł nigdy głodu wielkiego, ten nie pojmie, jak mi było, gdym zgłodniały widział chleb, miał z niego kawałek dostać, a nic nie dostałem. Rozpacz mnie prawie pobierała i jakby szaleństwo jakieś mnie opanowało. Ale przecie wody nam nie żalowali na ładzie. Napiłem się jej więc przynajmniej tyle, ile chciałem.

Nabrawszy wody, wróciliśmy na okręt. Sześć dni i sześć nocy płynęliśmy do Alikanty. Za całą żywność dawano nam teraz dziennie półtoorej kwarty wody i chleba na dwa razy w usta.

\* \* \*

Przybywszy do Alikanty, bawiliśmy tam dwanaście dni. Trzymano nas w jakimś magazynie. Na żywność dawano nam monetę, realem zwaną - niby czwartą część franka<sup>20</sup> i za taki pieniążek trze-

<sup>20</sup> W przeliczeniu na walutę obowiązującą wówczas w Poznańskim - ok. 20 fenigów.

ba nam się było co dzień wyżywić. Szczęście, że tam śledzie tanie, bo za półgrosza można było dostać trzy ogromne śledziska. Żyliśmy prawie śledziami, bo i wyrzucali dość śledzi takich, co im się na nic nie zdały. My je zbierali i jedli. Pić się chciało, ale wody mieliśmy pod dostatkiem.

Wolno nam też było chodzić po mieście, widzieliśmy przeto dużo ciekawych rzeczy i wiele przeróżnego narodu, mianowicie Turków, z którymi na żaden sposób nie mogliśmy się rozmówić. Moc też była rozmaitego wojska, tak hiszpańskiego, jak i angielskiego. W mieście była obfitość wszystkiego. Widzieliśmy masy sztokfisu i ryżu, które na placach stogami leżały. Kto miał pieniądze, mógł się najęść, ale myśmy tylko patrzeli na owe dostatki, ślinkę połykając.

W Alikancie był jakiś gubernator angielski i więcej jak sześćdziesiąt okrętów, które oni flotą nazywali. Temu nas oddano. Kazał nas w szereg ustawić, ażeby przegląd odbyć. Gdy nas ujrzał na wpół nagich, bez koszul, wynędzniałych, pytał się, cośmy za jedni. Gdyśmy mu powiedzieli, żeśmy Polacy, począł okropnie płuć Hiszpanom w oczy, powtarzając: Wy nie wicie, co to za ludzie - oni nie mają swej Ojczyzny, swego króla - służą więc innym, a służą wierne. Oni to głównie przyczynili się Francuzom, że tyle bitew wygrali! To naród szlachetny, bitny. To lud katolicki, a wy katolicy takeście ich obdarli? Godzi się z żołnierzem w niewoli tak postępować?

Okropnie im tam przy nas w uszy nakładł i kazał natychmiast dać po koszuli i wyliczyć każdemu po talarze pięciofrankowym. Niech mu Bóg nagrodzi za to, boć pewno już nie żyje!

Tego samego dnia jeszcze wsadzili nas na okręt i powieźli do Gibraltaru. Tu przybywszy, nie dali nam wysiąść na ląd, lecz przez dwa tygodnie trzymali nas na morzu dość daleko od brzegów. Potem nabraliśmy słodkiej wody i zawieszano nam łóżka w powietrzu. Były to jakby worki jakie, do których, gdy człowiek wszedł dyndał się jak w kolebce, co nas bawiło, bo nieraz jeden o drugiego zawadził. Gdy nam było za gorąco, tośmy wychodzili na pokład i tam nocowali.

\* \* \*

Z Gibraltaru płynęliśmy do Kadyksu, a z Kadyksu brzegiem Portugalii i Francji aż do Portsmouth w Anglii, gdzieśmy wylądowali.

wali. Tu nam dali Anglicy kurtki, spodnie i koszule płócienne, a gdy nas tak ubrali, dopierośmy wysiedli. Po dwóch tygodniach pobytu w Anglii zaprowadzono nas do Kumberland, jednej forteczki nad morzem. Tu nam dali mydła, każdy się musiał ogolić, wymyć i wykapać, po czym dopiero osadzono nas w koszarach. Dawali nam dziennie pół funta mięsa, funt chleba i dziewięć pensów, niby trojęków.

Wzięto nas potem do Limington, gdzie był główny skład angielski. Tu rewidowano nas, mierzono i kompletowano nami pułki swoje w Indyjach i Bóg wie gdzie za morzami stojące. Z płacem żegnał się na zawsze z towarzyszami, którzy szli daleko za morze w służbę angielską. Wielu zaś naszych wymawiało się od tej służby. Ja zwłaszcza byłem ranny pod Gdańskiem, powiedziałem więc, że jestem już słabym i inwalidą. Posłano nas do Harwich, nad Morzem Północnym, gdzieśmy także dwa tygodnie stali, trzymając warty i stawając rano i wieczór do apelu. Obchodzili się z nami grzecznie i po ludzku, a to wszystko w celu zwerbowania nas - chcieli nas nawet w Anglii pożenić, byleśmy tylko zostali.

Z Harwich wodzono nas po różnych miastach angielskich, aż nas wreszcie zawieźli do Londynu, gdzieśmy odbywali noclegi na przedmieściu. Dziwny zwyczaj w tej Anglii, bo co dzień przynieśli nam na kwaterze na półmisku cynowym tytoniu i każdemu co dzień nową długą fajkę gipsową. Dnia jednego, było to w niedzielę, kiedy tak sobie rano, może około godziny ósmej, palimy owe fajki, gwarzając o naszej niewoli, przychodzi nagle dziewczyna i nic nie mówiąc, bierze nam fajki od gęby i postawia na bok. Mieliśmy nakaz, żeby wszędzie być jak najgrzeczniejszymi. Złękliśmy się więc, nie wiedząc, co to znaczy. Myśleliśmy bowiem, że który z nas co na kwaterze przeskórzył i wszyscy za to będziemy karani. Idę więc zaraz ja z jeszcze jednym kolegą meldować to sierżantowi angielskiemu, który nas o co gospodarz miał posądzić. Dopiero ów sierżant pocziwy, Polak, rodem z Zamościa, który już kilkanaście lat pełnił służbę u Anglika, powiada nam, że tu w Anglii jest takie prawo, iż w niedzielę podczas nabożeństwa nie wolno fajki palić.

Słyszając to, uspokoił się, ale zarazem pomyśleliśmy sobie: Mój Boże, ten lud angielski, niekatolicki, a jednak jak on to obserwuje święto, a u nas katolicy nie boją się Boga, jeno w niedzielę lub święto, nie tylko że fajki palą, ale pracują!

Ledwieśmy w onej stolicy państwa angielskiego odpoczęli, posadzono nas na okręt i wieziono na wyspę św. Heleny<sup>30</sup>. W tej długiej i dalekiej podróży, wieleśmy ucierpieli. Morze nieraz okropnie się burzyło. Morska choroba bardzo nas nękała. Niebo i wodę widzieliśmy tylko co dzień. Tęskno i nudno - przepaści rozwarłe pod nami, trwoga i niebezpieczeństwa co chwila pełno. Zdawało się, że nigdy nie zapłyniemy, tylko tak będziemy bujali po tych topielach do końca świata. Com się wtedy naziewał, toby nikt nie uwierzył; myślałem, że mi się usta rozedrą. Na nogach ledwem się trzymał, tak się okręt chwiał. Roczmaite zwierzęta wodne wyskakiwały podczas ciszy morza nad wodę, aż strach było spojrzeć. Gdy człowiek wyszedł na pokład i patrzył na tę okiem niezmierną wodę, to aż się w głowie zawracało. O ziemi ani słychu - bałem się, czy nie zapomnę chodzić. Już to co ciepła, to aż nad to użytem, bo w piecu od chleba nie może być goręcej. Przybyliśmy nareszcie.

Wyspa Świętej Heleny jest jakby z kamienia zrobiona, a kamień bielutki. Jest tam porządne miasteczko, piękne też kościoły, w których słyszałem śliczną muzykę i śpiew. Osadzono nas w koszarach i nie dano wychodzić. Używali nas potem do różnych robót. Fala morska przypędziła dwa jakieś okręta, na których było pełno towarów. Musieliśmy je więc, jak tylko morze opadło, co dwa razy na dzień bywało, odkopywać i z piasku wyciągać. Wydobyliśmy je nareszcie na brzeg. Miewaliśmy też inną robotę. Rąbano i ciosano kamienie z gór; te potem musieliśmy znosić do komendanta. Ale za to dobrze nam płacili, bo po dwa szylingi, to jest po cztery złote polskie dziennie.

Po kilku tygodniach kazał nas komendant zawołać i pytał, czy chcemy służyć w Indiach? My odpowiedzieliśmy otwarcie, że na żaden sposób tego nie chcemy i że prosimy o litość nad naszym losem, że będąc Polakami, chcielibyśmy umierać na własnej ziemi.

Komendant, ujęty naszym dobrem zachowaniem się, a bardziej widząc naszą tęsknotę, wzruszył się litością. Wkrótce kazał przygotować okręt, zaopatrzyć we wszelką żywność i wyprawił nas z powrotem do Europy i to do Hanoweru.

Szczęśliwie przebyliśmy morze. Każdy z nas miał pisane świadectwo i paszport do tego miejsca, skąd był rodem.

<sup>30</sup> Wyspa Świętej Heleny — posiadłość brytyjska w pld. części Atlantyku, miejsce zesłania (1815—1821) i śmierci Napoleona I.

Blisko brzegów hanowerskich będąc wysiedliśmy na morzu z okrętu na łodzi i na nich zbliżyliśmy się do brzegu. Ale że i dla łodzi było już za miałko, przeto musieliśmy brodzić po wodzie przeszło dwa staja.

Zmoczeni i zziębnięci wyszliśmy na ląd we Friesland, gdzie się znajdowali Francuzi. Ci odebrali nam paszporta, kazali sobie oddać wszystkie rzeczy, któreśmy mieli z Anglii, a złożywszy je na kupe, zapalili, mówiąc, że oni z obcego kraju nie potrzebują.

Co za racyja, myśleliśmy sobie, jak gdyby to, bez czego oni się obejda, nam nie było potrzebne.

Mnie spalili ładne lusterko i dobrą brzytwę, którą sobie z oszczędzonego grosza kupilem w Anglii.

Potem zagnali nas na nocleg do pustej stodoły.

Już też nastawał czas zimy: śnieg leżał na ziemi po kostki, wiatr wiał, my byliśmy przemoczeni ową przeprawą na ląd, tak więc nam w owej stodole było zimno, zem nigdy jeszcze nie słyszał takich jęków, jakie my wtenczas z zimna wydawali. Jużeśmy myśleli, że nie doczekamy rana, jeno w tej stodole zmarzniemy, zwłaszcza żeśmy nic ciepłego w ustach nie mieli, aleć szczęśliwie przeżyliśmy tę noc.

Stąd pędzono nas do Amsterdamu. Francuzi nie chcieli wierzyć, że wracamy z niewoli angielskiej, owszem posądzali nas, żeśmy w Hiszpanii do Anglików uciekli. Trapili więc nas bardzo swojemi wypytywaniami.

Siedzieliśmy w Amsterdamie zamknięci dwa tygodnie. Nie dosyć było biedy od cudzych, trzeba nam było jeszcze cierpieć od swoich - aleć to tak często bywa na świecie! W końcu zwołano nas przed jakiegoś generała francuskiego. Ten nas znowu badał. Musieliśmy opowiedzieć wszystko jak było i dopiero, gdy przekonał się, żeśmy nie dezertowali od wojska, tylko dostali się do niewoli, wypisał nam marszrutę do naszego składu, do Bordo, gdzie już raz byłem, maszerując do Hiszpanii.

Z Amsterdamu szliśmy na Luksemburg<sup>21</sup>. Tu nie w mieście, tylko w jednej wsi za miastem dostaliśmy nocleg u jakiegoś bogatego Niemca. Braliśmy po trzy su, to jest po siedem i pół groszy polskich

---

<sup>21</sup> Luksemburg - miasto nad granicą francuską - obecnie stolica Księstwa Luksemburg.

na miłę, oprócz tego każdy gospodarz na kwaterze musiał dać bezpłatnie soli, wody i ognia.

W owej wiosce kupiliśmy sobie mięsa i kazaliśmy je gotować. Ugotowano nam, ale bez soli dano na stół i na żaden sposób soli dać nie chcieli. Umawiamy się więc z Niemcem, żeby dał soli. On nie chce. Gdy się tak wadzimy o ową sól, przybiegł nagle kot, wpadł na stół i porwał nam kawał mięsa. Może to jednemu dziś śmiesz-  
nem, ale nam się śmiać nie chciało, bośmy byli głodni, żebyśmy kamienie byli jedli. Biorę więc rozgniewany gospodarza za kark, przekładam na stół i pęstykuję co niemiara. Po tej łaźni dobrej wsiada on czem prędzej na konia i jedzie na skargę na nas do Luksemburga.

Koledzy moi zaczynają na mnie gadać, że dla mnie będą może nieszczęśliwi. Ale ja ich uspokoiłem, mówiąc „Za to, com ja zrobił, ja odpowiem”. Wrócił Niemiec. Ja nie tracąc m.n.y, idę zaraz do niego i pytam, co wskórał? On mi n.c na to nie odpow.ada, tylko prosi z sobą do sklepu. Wchodzę z dobrym kijem, bom mu nie ufał, czy mnie tam nie zacznie dusić. A on tymczasem toczy w dzban wina i podaje je, mówi: „Nie wiedziałem, coście za ludzie, w dżac was tak nędznie ubranych, ale dowiedziałem się; teraz w domu moim odtąd niczego wam brakować nie będzie”. Ja go też przeprosiłem, że m się z nim tak źle obszedł, dodając, że m n c bieda i niecierpliwość do tego zmusiły. I prawdziwie dał nam odtąd poddos-  
tatkem do picia i jedzenia. Obiecał mi jeszcze na piwo dać nazajutrz, ale, żeśmy rychło wychodzili, a on spał jeszcze, więc nie dostałem.

Z Luksemburga szliśmy do Paryża, gdzie nam dano po osmnaście franków<sup>32</sup> nagrody, a drugie osmnaście franków mieliśmy dostać w Bordo, dokąd nas teraz wyprawiono. Przechoziliśmy przez całą prawie Francję, aż nas wreszcie zatrzymano w Bordo, gdzie, po tylu miesiącach niewoli, po raz pierwszy śliczną, czystą dostaliśmy bieliznę i znów pięknie umundurowano, tak że człowiek dostał znowu chętki być żołnierzem, bo w niewoli prawdziwie się tego odechciało.

---

<sup>32</sup> Około 28 ówczesnych złotych polskich.

## VI

### Wojna z Moskwą



Sześć tygodni wypoczywaliśmy w Bordo. Mnie dano tresy i galonki kaprałskie, bo lubo w Hiszpanii ciągle pełniłem służbę kaprałską, jednak dopiero tu prawdziwie na ten stopień mnie posunęli.

Jakże nam miło było spocząć po tylu trudach niewoli! Śmiałyśmy się z niejednej biedy naszej, która nas dawniej do płaczu prawie pobudzała.

Mając wolny czas, dziękowaliśmy też Bogu za nasze wybawienie.

W czasie pobytu w Bordo, powróciły też pułki nasze z Hiszpanii, wcielono i nas do dawnych naszych kompanii, bo i wszystko miało znowu hurmem ruszyć do Rosyi.

Wielką siłą i z ochotą wyruszyliśmy do Rosyi. Każdy z dobrą miną, bo każdy był pewien zwycięstwa. Bitwy nie lękaliśmy się, boć to wszystko prawie stary żołnierz, co nie z jednego pieca chleb jadał i nieraz dobrze powąchał prochu. Ja z moimi szedłem na Berlin, Szczecin i Królewiec. Z Królewca szliśmy prosto na Litwę.

Przed Wilnem stanęliśmy na wzgórzu, ubraliśmy się jak na paradę i z muzyką weszliśmy do miasta, a po jednodniowym odpoczynku zaraz szliśmy dalej, aż pod Smoleńsk.

Pod Smoleńskiem przyszło do wielkiej bitwy. Już z dala natrafiliśmy dużo leżących po polach kaszketów, pałaszy i różnych rzeczy po zabitych. Zabitych pewno byli zaraz pochowali. Wielu tam Polaków zginęło, mianowicie z czternastego, szesnastego i siedemnastego pułku, które przed nami pod Smoleńsk były przysły. Trzepaliśmy tu doskonale i szturmem zdobyliśmy Smoleńsk, a Moskale uciekali na łeb, na szyję.

My, cośmy przybyli z Hiszpanii, nie byliśmy pod polską, lecz zawsze pod francuską komendą, a Francuzi zawsze, gdzie im ciężko szło, nas posyłali. Kiedy przyszło nacierać na nieprzyjaciela, to nas naprzód postawili, a kiedy armia rejterować musiała, to nas w tyle zostawiono, zawsze tam, gdzie największe było niebezpieczeństwo.

W Smoleńsku zabawiliśmy trzy tygodnie, potem posunęliśmy się o siedm mil za Smoleńsk, pod Szczeszniki, gdzie znów bitwa. Miaszczko to jest drewniane, jak wszystkie prawie miasta moskiewskie, które widziałem. I tu po zaciętej walce Moskale zrejterowali, a my w pogoń za nimi.

Na płaszczyźnie jakiejś wielkiej przyszło niezadługo potem znowu do bitwy, ale tak strasznej, że w życiu okropniejszej nie widziałem, choć przecie w Hiszpanii codziennie prawie biliśmy się i niejedną wielką bitwę stoczyliśmy. Moskale stali jak mur.

Strzelaliśmy do nich bezustannie całemi kolumnami, a przecie każdy z nas umiał się ze sztucerem obchodzić i pewno na próżno rzadko kiedy strzelił, jednakowoż Moskale ani rusz. Grały armaty nasze, że aż strach, a na holenderską naszą artylerję mogliśmy śmiało liczyć, że nie chybia. Moskale mimo to stali jak mur i nie było widać, żeby jakkolwiek wyłom był zrobiony w ich kolumnach.

— Darmo dzieci, mówił komendant nasz Ziro, przestańmy się bawić, Moskalom widać ciągle nowe przybywają posiłki. Wieczór już nadchodzi, a my z nimi nie skończymy. Pospieszmy się, by dziś skończyć; pokażemy im, żeśmy byli w Hiszpanii. - Dalej na bagnety

Włosy na głowie stawają, gdy sobie wspomnę owo żganie. Konnica z konnicą rąbała się na przebój, a my piechota równocześnie braliśmy na bagnety jednego Moskala po drugim. Jużemy od hałasu nie słyszeli komendy wcale, jeno każdy uwijał jak mógł. Ja sam oczy zamknąłem, bo mi też już i pot je zalewał, i patrzeć nie mógłem na takie mordowanie ludzi, a żgałem, co mógłem. Krew się lała strumieniami. Mnie się zdaje, że Moskale musieli być popici, inaczej niepodobna przypuścić, aby się dali tak żywo zarzynać i mordować. Ruszyliśmy ich wreszcie z miejsca, a wnet zaczęli i na dobre uciekać. Ale tyle trupów, co tam było, nie widziałem nigdy. Po dwóch, czasem i po trzech trupów leżało na kupie. Niektórych ciało popakuliło się już, bo tak konnica, jak i armaty po nich nawracały. Jęku rannych, ryku przeraźliwego koni, aż strach było słuchać i tem okropniejszy się wydawał, że to już było po zachodzie słońca.

\* \* \*

Nazajutrz po tej bitwie kazano nam wołtyżerom pozbierać rannych z pobojowiska, a nasi stali obozem pod borem, w odległości

może ósmiu staj od owego straszego miejsca. Ruszamy na plac boju. Jużemy byli pozbiali każdego, co jeszcze był przy życiu i wracamy do swoich, gdy nagle widzę zabitego jakiegoś jenerała moskiewskiego, już stęgniętego, między trupami. Leżał w płaszcz obwinięty, tylko złote galony, szlify i pasy było mu trochę widać. Patrę, ma złoty łańcuszek do zegarka. Jakieś licho mnie skusiło, żem rozpiął mundur na nim i zajrzałem do kieszeni. Było tam czternaście talarów Maryi Teresy i piękny złoty zegarek. Biorę to wszystko. Chcę wziąć łańcuszek złoty, ale Moskał już sztywny, nie mogę więc zdjąć, a zerwać nie chciałem. Ale miał i szelki łosie, ładne. Myślę sobie: Właśnie mi też szelek potrzeba, coś onemu po tem? Nie wezmę ja, to je weźmie inny, albo w ziemi zgniją, a mnie się bardzo przydadzą.

Gdy się mociuję, by z niego ściągnąć owe szelki, a tu skąd się wzięło, to się wzięło, dwóch moskiewskich huzarów i pędzą do mnie, co konie wybiec mogą. O nieszczęśliwe szelki! myślę sobie, pewnie teraz śmierć pojem za nie! Dopadają do mnie i krzyczą: „Kryczy pardon, Lachu! nie ujdiesz, ne ujdiesz! to jest: „Kryczy pardon, Polaku, nie ujdiesz nam, nie ujdiesz!” Ja chwytam sztucer i co który do mnie dopada, to ja mierzę, a on odskakuje. Tak się uganiam z nimi ciągle co tylko mogę, cofając się ku swoim. Oni strzelają do mnie z karabinów, nacierają na mnie pałaszami, ale kula żadna mnie nie trafia, a pałasz odpieram bagnetem. Już mi siły zaczęły ustawać, pot mi oblał oczy. Byłem pewien, że strzałem moim jednego zabiję, ale wtenczas drugi śmieiej na mnie nacierać będzie, wiedząc, że już strzelić nie będę mógł. Krzyczę więc wreszcie na swoich, co gardła. Usłyszeli. Przybyło dwóch leżerów<sup>88</sup> naszych mi na pomoc. Ja, widząc, że już są blisko, jak palnę ze sztucera, na miejscu jednogom zabił. Drugiego zaś chciałem wziąć bagnetem pod biodro i wysadzić z siodła, a tymczasem koń się zląkł i odskoczył trochę na bok. Zamiast huzara trafiłem konia w pierś, aż się bagnet zgiął. W tym samym czasie huzar jak mnie płałnął w lewą rękę, tak mi zaraz przeciął żyły i uciał wielki palec u ręki.

Zamachnął się powtórnie pałaszem na mnie i byłby mnie pewno prosto przez głowę ciał, ale na szczęście jeden z przybyłych naszych leżerów w tym samym momencie dał mu cięcie z tyłu i odciął mu rękę w ramieniu.

<sup>88</sup> Chodzi o szwoleżerów — żołnierzy lekkiej konnicy.

Tak tedy dla głupich szelek narobiłem sobie niepotrzebnego bigosu i bólu. Złowiłem, prawda, kilkanaście talarów i zegarek, ale pozbyłem się palca, który pod żadną maścią nie odrósł. Wziąłem wówczas ów palec na skórce u ręki wiszący, urwałem i rzuciłem na ziemię. Krew mi oblała całą rękę, z żył płynęła jakby lał. Strach mnie było, że mnie krew ubiegnie. Leżery nasze wołają na mnie, „Siadaj wołyżer na konia”. Aleć mnie się na konia wsiąść nie chciało. Wołałem się wlec za nimi, a oni w środku między sobą prowadzili konia owego huzara moskiewskiego, przeze mnie zabitego. Przyszliśmy do naszych. Miałem strach, że mnie starsi wyłają, albo może ukarzą za to, że się tak zbałamucił. Aleć przecie starsi u ogniska siedzący kazali mnie przywołać do siebie. Idę skłopotany i zbolały, a oni tu już z dala wołają:

— Brawo wołyżer, brawo! Widzieliśmy twój manewr i podziwialiśmy go, aleśmy nie wiedzieli, kto z kim się tak uciera. Myśleliśmy, że to swój ze swoim tak się bawi.

Śmiali się potem i żartowali ze mnie. Ale mn'e się żartów nie chciało. Gdy zobaczyli mą krew, kazali natychmiast doktorowi opatrzyć mi ranę. Zrobił to zaraz. Wtem kapitan nasz chciał wziąć owego konia moskiewskiego, ale generałowie nasi nie dali, mówiąc: „On życie swe hazardował, jemu się koń należy”. Dał mi więc kapitan pięć talarów za owego konia. Ale bodajbym ich nigdy nie był widział. Byłać to pewno kara Boża za moją chciwość.

\* \* \*

Opuściwszy ów straszny plac boju, ruszyliśmy dalej. Stojąc pod Siannem, usłyszeliśmy pogłoskę o spaleniu Moskwy - ale nie powiadano nam, kto ją zapalił.

Pod Możajskiem okrutnieśmy się znowu nauganiali z Moskalami. Niedługo potem nie małośmy się zdziwili, widząc jak urywki naszych ciągną na powrót. Kirasjery i dragony - sama ciężka jazda - idą najpierw z pałaszami i tornistrami na ramieniu. Wnet za nimi różni żołnierze naszej armii wloką się bez ładu i składu, a drudzy na sankach migotają się przed oczami naszymi, mianowicie starsi. Już w Siannie kazał nam generał nasz Ziro wyganiać z domu maruderów i kaleki z pomarżłemi nogami, którzy schronili się do miasta, co nas nie małośmo zastanowiło, że to już swój swego ma bić, ale teraz, widząc tyłu powracających, zaczęliśmy się lękać i głośno o tem nawet przed oficerami mówić. Oni nas pocieszali, że to idą po ko-

nie do Litwy i Polski, ale nam się inaczej zdawało, przeczuwaliśmy, że źle być musi.

Kozacy też coraz częściej nam się pokazywali, kwicząc po swemu, ale ledwo zaczęliśmy strzelać, umykali co żywo. Raz pokazali się nam na zmarzłych jakichś błotach. Uderzyliśmy na nich i byliśmy pewni, że konie ich porozbijają się na lodzie. Ale one usiadły na zadzie i tak ślizgając się, uciekały przed nami. I najgorsze też to były te kozacyska, bo to choć znikąd nie było widać wojska moskiewskiego, oni się jednak ni stąd ni zowąd wynurzyli i tak nam nigdy pokoju nie dali.

Wkrótce cała armia zaczęła się cofać. Przyszliśmy nad rzekę Berezynę. Nad rzeką były piękne lasy świerkowe i śliczna jedlina, jako i błota zamarzłe i śniegiem grubo pokryte. Rzeka sama z brzegów była zamarzła, a środkiem szła gęsta kra. Znaleźliśmy tu most popsuty, który nasi znów budowali czem prędzej, wiążąc z sobą lodzie, a na to kładąc najpiękniejsze jodły i świerki. Przez dwa dni okropnie biliśmy się nad tą rzeką. Raz my Moskale od rzeki odegnaliśmy, bijąc się, co nam sił starczyło, drugi raz Moskale gnali nas całą siłą, by nas wszystkich w rzece potopić.

Co tam zginęło ludzi i koni, to trudno obliczyć. W rzece koń przy koniu z całym kulbakami i tłumokami, jak tylko okiem można było dojrzeć, pływały, a kra o nie uderzała; kostniały z zimna, a wydostać się nie mogły, bo nad brzegiem stał lód, który się pod ich nogami załamywał: Kwiczały więc owe biedne bydłeta tak przeraźliwie, że włosy na głowie stawały. Ledwo most stanął, wszyscy chcieli razem się przeprawić, bo Moskale tuż za nami bili z armat i z ręcznej broni. Ilu tam nawpadało w rzekę, tak piechoty, jak i konnicy, to aż strach wspomnieć, bo wszystko się pchało, żeby jak najprędzej przejść przez most. Wołano: to po polsku, to po francusku o ratunek, ale nikt tam nie miał czasu ratować, bo każdy starał się, żeby tylko z własnym ujsć życiem. My broniliśmy mostu, a tak zacięcie jak nigdy, bo trzeba było koniecznie Moskale odegnąć od rzeki, gdyż inaczej oni by nas w rzekę byli wegnali.

Drugiego dnia wśród bitwy zostałem ranny, nie wiem, czy od kuli armatniej, czyli też kawał ziemi zmarzłej oderwała kula i mnie nim raniła, dość, że była ta rana w nogę tak straszna, że mi cała spuchła. Odszedłem więc na bok, aby ją sam sobie opatrzeć i obwinać, boć tam nie było czasu szukać doktora. Obłożyłem ją lodem z rzeki Berezyny i po kilkogodzinym okropnym bólu zrobiło mi

się nieco lepiej, tak iż chodzić mogłem. Idę więc - a już pod wieczór - do mostu, a tu nasze pontonierzy most rozbierają. Wołam przeto na innych moich kolegów rannych, żeby przechodzili co prędzej, a sam sztucerem się podpierając, przechodzę rzekę już tylko po belkach. Że wtenczas nie wpadłem w rzekę, to łaska Boża!

\* \* \*

Uszedłszy z milę od Berezyny, zbieraliśmy się pod jakimś borem. Sam Napoleon rewidował tu pułki, które okropnie były przerzedzone, nie tak w boju, jak od głodu i mrozu. Widziałem go przedtem wiele razy, ale nigdy jak wówczas - i zawsze go tak widzę - Miał szarą kapotę z rozporem w tyle, a na głowie lisiątą czapkę.

Odtąd rejterowaliśmy ciągle, oganiając się napaści.

Zmęczony sztyganiem, usiadłem sobie raz nade drogą, a tu szczęśliwie nadchodzi wojsko nasze. Mija mnie każdy, z litością spoglądając na mnie. Dopiero w tyle jadący zbliża się do mnie. Był to poczciwy podporucznik Plantowski, z którym byłem razem w niewoli angielskiej.

— Toś ty ranny, Daleki? odzywa się do mnie litośnie!

— Tak, panie, w nogę - pod Berezyną. Opuchła mi, obrzmiała i ledwo z biedą iść mogę.

— Siadaj na mego drugiego konia. Tylko się strzeż, żebyś się z nim nie dostał w ręce moskiewskie. - Trzymaj się naszej kompanij fizylierskiej. - Bo nie o konia mi idzie, jak raczej o te rzeczy, co na nim są. Wiozę bowiem śliczne płótno i drogie futro dla mojej żony.

— Dobrze, panie, już ja się będę starał, żeby panu nic nie zginęło.

Wdrapałem się za pomocą innych na owego konia i jechałem kilka mil na nim. Nieszczęście chciało, że przyszło nam maszerować jakąś wąską drogą między błotami. Zepchnięto mnie razem z koniem z owej drogi. Koń wpadł w oparzelisko, jeno mu było widać trochę głowy i uszy.

Mnie naprędce wywindowali żołnierze z owej biedy, a koń ze wszystkim utonął.

Przychodzimy na nocleg. Plantowski przybywa czem prędzej do mnie i pyta o konie i rzeczy swoje. Ja mu powiadam, co się stło z nim. Rozgniewał się na chwilę, ale wnet się udobruchał.

\* \* \*

Od Rygi zabiegli nam Moskale, aleśmy się im oparli i dobrze przetrzepali. Choć prawda, ja już się z nimi bić nie mogłem.

Na nocleg rozłożyliśmy się za borem. Śnieg był głęboki, tak żeśmy ledwie ogień rozniecili. Co to była za noc straszliwa! Zimno tak, że człowiek na dobre zębami dzwonił - a tu grzej się na roztopionym śniegu. A co to będzie jutro? Taż sama nędza, tylko może więcej napastników i więcej bólu. Moja noga zaogniła się i nabrzmiała okrutnie. Płakałem z bólu jak dziecko, a łzy mi do twarzy przymarzały. Nie było się komu poskarżyć, ani kogo poradzić, bo każdy myślał tylko, aby w tym śniegu i mrozie nie zostać. Oj, to najlepiej czuje, jak to na nic mu się nie przydadzą ani pieniądze, ani piękne rzeczy. Wszystko za nic wtenczas - prawdziwie, tak jak nas księża nauczają, marnością to wszystko się widzi.

Pod Berezyną, żeby tylko życie uratować, widziałem jak kupami pieniądze wysypywano z bryk, tłumoki z rzeczami rzucano, aby co prędzej z życiem ujsć.

Uchodząc przed nieprzyjacielem, spotkaliśmy furgon francuski z pieniędzmi. Oficer, stojący na furgonie, z obawy, żeby go Moskale nie dostali, bo uciekać już nie mógł, gdyż konie zesłały, wołał na nas, wyrzucając złoto i srebro, abyśmy brali co kto chce. - Brali inni, ale mnie się z bólu i złota już odechciało. Wtedy to niejeden się obłowił, ale ja szedłem dalej - naprzód.

\* \* \*

Raz przyszliśmy do jakiejś wsi, gdzie już było wielu Francuzów. Nas Polaków było tam czternastu rannych. Nie mogąc nigdzie znaleźć przytułku, udaliśmy się za wieś na pole skąd widać było bliski las olszowy. Tu rozłożyliśmy się, myśląc jak się ogrzać i posilić. Kilku z nas poszło pode wsią płot rozebrać na ogień, a ja powlókłem się do wsi, czy czego nie złowię.

Chodzę i szukam, na próżno, bo wszystko Francuzi wyjedli. Jużem wracał smutny, aż oto spostrzegam na jednym podwórku kaczkę w kąciku. Dalejże po nią - złapałem i niosę do swoich, którzy tymczasem ogień na śniegu rozpalili. Oskubawszy ona kaczkę, wsadziłem do garnka i przystawiłem do ognia. Patrzymy na garnek wszyscy i połykamy ślinkę, aż tu od boru przybywa dwóch kozaków, którzy zbliżają się do nas i mówią:

— Wyście Polacy?

— Tak jest, Polacy!

— No, to paszół prędko, bo wnet kozaki tu wpadną.

Mowa ich była tak szczerą, że widziałem, iż prawdę mówią. Pobiegłem więc co żywo do wsi i ostrzegłem starszyznę. Wyśmiali się ze mnie.

Alście, zaledwie wróciłem do swoich, aż tu istotnie od boru wypada jak rój szerszeni chmara kozaków. Porwaliśmy się wszyscy. Ja łap za kaczkę, niedogotowaną, i dalejże do wsi. Francuzi widząc, że to nie żarty, zaczęli się bronić, ale że byli nieprzygotowani, więc mocno ich przetrzepali. I dobrze im, mogli mnie być słuchać.

Nas czternastu rannych nie zdążyło do wojska swego; staliśmy więc na ustroniu. Kozacy obok nas przelecieli, potem jeszcze kilka razy nas mijali, a żaden nic nam złego nie zrobił, choćby nas palcem był wywrócił, tak byliśmy słabi, schorziali i znużeni. Przez cały czas kaczki nie puściłem z rąk i dopiero nazajutrz, gdyśmy już blisko milę przez noc się cofnęli i stanęliśmy w jednej wsi, którą wojsko cała zapaliło, upiekłem ją na dobre i zjadłem z kolegami.

\* \* \*

Raz w marszu, osłabiony i przeziębły, zostałem cokolwiek w tyle. Idę, idę jak mogę i przyszedłem do boru. Droga była od sanny tak ubita i szeroka, że się szło jak po szkle. Nagle słyszę krzyk za górą, blisko boru. Patrę, a tu nasi uciekają przed kozakami. Niewiele myśląc, rzuciłem się w kupę śniegu, świeżo spadłego, tak że mnie widać nie było.

Kozacy przelecieli jak strzała obok mnie.

Gdy się wszystko utichło, chcę wstać, a tu zdrętwiałem cały tak, że się ruszyć nie mogłem. Aleć przecież po długim mocowaniu się ze sobą i ze śniegiem, wylazłem. Idę dalej. Jak zwykle tak i teraz czułem głód i zimno. Patrę, a tu niedaleko ode drogi na gołaźni między drzewami widać resztki ognia. Ucieszyłem się, zwłaszcza, że przy dogorywającym ognisku ujrzałem dwóch Francuzów, siedzących na śniegu i obwinionych w płaszcz; zbliżam się do nich i mówię:

— Pozwólcie kamraci, niech się trochę ugrzeją! Oni nie odpowiadają. Ja trącam jednego po ramieniu, a ten się wywraca skosniały.

Patrę, a tu i drugi martwy. Ach oni pomarli, zanim ogień wygasł!

Gorzko westchnąłem nad losem tych nieszczęśliwych i nad biedą naszą: zmówiłem krótki pacierz za ich dusze i poszedłem dalej.

Przychodzę do jednej wsi, gdzie zastałem wielu naszych, zgłodniałych tak jak ja.

— Nie macie co zjeść? bom ranny i głodny, mówię do nich.

— Nie mamy nic i sami umieramy prawie z zimna i głodu.

— Nie szukaliście we wsi?

— Szukaliśmy, ale nic nie znaleźliśmy.

Idę więc ja szukać.

Bóg łaskawy był na mnie. Ledwom wszedłem do pierwszego porządnego domu — był to pewnie pałac — znajduję pełno mąki w jednym pokoju. Wołam kolegów, żeby mi zrobili ogień w piecu. W momencie był ogień, a ja zrobiłem ciasto i upiekłem w krótkim czasie każdemu po bochenku chleba.

Sam, pokrzepiwszy się, wziąłem jeszcze bochenek ze sobą, ale nieszczęście, gdyśmy wchodzili do Wilna, cisnąc się jeden prawie przez drugiego, bo Moskale na nas nacierali, urznął mi ktoś ów bochenek z tyłu i wziął. Ja we Wilnie do bochenka, a tu go nie ma!

\* \* \*

We Wilnie tylkośmy trochę odpoczęli i ruszyliśmy dalej. Ja za naszymi zdążyć nie mogłem. Już ciemno się zrobiło. Wszędzie pusto. Dokąd się tu udać na nocleg? Gdy tak stoję skłopotany, czy mi nie przyjdzie w śniegu przemocować i w nim pozostać na zawsze, słysząc nagle szczekanie psów.

Zebrałem resztę sił i idę za onym psim głosem. Wnet ujrzałem jakieś migające się światelko. Idę tedy i przychodzę nareszcie do dwóch chałup na pustkowiu. Wchodzę do jednej i zastałem dwóch chłopów i dwie kobiety. Proszę ich, na miłosierdzie boskie, aby mi dali na noc przytułek. Chłopi odpowiadają, że nie mogą mnie przemocować, bo dla Kozaków u nich już zamówiona wieczerza. Proszę błagam, pokazują ranę w nodze — na próżno.

Wychodzę więc smutny i chcę iść do drugiej chałupy, ale nieszczęście nie był za płot przelazł, gdy jedna z kobiet woła, bym się wrócił. Wróciłem. Wszedłszy, podziękowałem dobrej kobiecie za liściowe serce i rzekłem:

— Lubom ja głodny i schorzały, nie chcę wszelako nic od was, tylko proszę o mały kącik, gdziebym wypoczął do rana.

Siadłem na ławie. Zaczynają mnie wypytywać, ale nam jakoś nie szła rozmowa, bo język Litwinów odmienny od naszego. Posłano tedy po żyda arendarza do pobliskiej karczmy. Przybył arendarz, i gdy on opowiedział o mnie com ja mu po polsku powiedział, odezwał się do mnie:

— Jeżeli masz pieniądze moskiewskie, to je zmień, bo dalej nikt ich nie przyjmie.

Miałem wprawdzie w tornistrze pięćdziesiąt talarów i złoty zegarek, ale odrzekłem:

— Nie mam grosza przy duszy, bom taki słaby, że ledwo sam siebie dźwigać potrafię.

Ażeby jednak żyda zaspokoić, sięgnąłem do kieszeni w płaszczu i dobyłem kłębek czerwonego jedwabiu, com go był znalazł na drodze. Oddaję mu go, mówiąc:

— Oto wszystko, co mam.

Żyd chciał mi zań dać dwa złote, lecz ja na to:

— Co mi po pieniądzach! Daj to lepiej gospodarzom za ich dobroć ku mnie.

Jeden z chłopów wziął one dwa złote i poszedł z żydem do karczmy. Niezadługo wrócił i przyniósł flachę gorzałki. Pili wszyscy i mnie częstowali, ale ja ani kropelki nie piłem. Zaraz też przyniesiono mi słomy, a jedna z kobiet zrobiła mi ciepłą polewkę z mleka. Posiliwszy się, ległem na owej słomie, kładąc tornister pod głowę, niespokojny, czy rana doczekam, bo ów żyd i kozacy stali mi ciągle na myśli.

Westchnąłem do Boga i zasnąłem twardo jak kamień. Na świtanu zbudził mnie gospodarz. Dano mi znowu ciepłe śniadanie i nalegano, żebym się wyniósł co prędzej. Spiesznie więc rzuciłem tornister na plecy i w dalszą ruszyłem drogę. Pocziwy gospodarz wyprowadził mnie za karczmę na utworowany gościniec i kazał iść prosto. Ja mu serdecznie podziękowałem za nocleg i szedłem dalej.

Uszedłem z mileczkę, usiadłem na śniegu. Zdejmuję tornister i patrzę, a tu rzemyki od mantelzaka poprzerywane. Łzy mi się w oczach zakręciły i pomyślałem sobie: „Mój Boże, wartoż było włożyć ten ciężar z sobą, żeby mnie tu okradli nareszcie?” Zaglądam do tornistra, wszystko poprzewracane. „Pewnie to, myślę sobie, kara Boża za to, żem skłamał i powiedział, że nic nie mam, biedzie ratować! Dwie pary trzewików i trochę białizny zostało - widać,

że tego nie chcieli. Lecz pieniądze i zegarek pewno zabrali!" Patrzę w on kącik tornistra, aleć przecie Bogu dzięki jest wszystko. Rzecz dziwna, że ich nie znaleźli! Powstałem nagle z radości i szedłem dalej, wysławiając Boską Opatrzność.

Blisko granicy litewskiej, przez którą mieliśmy wchodzić do Prus, szedłem także już ciemno w wieczór do jednej wsi, w której idąc do Moskwy, wypoczywaliśmy w marszu. Spieszę więc do tego samego domu, gdzie miał wówczas kwaterę. Zastaję w izbie dwie kobiety. Proszę je o nocleg - one się wymawiają. Ja jednak osłabiony nie pytam się dalej, tylko siadam za stołem. Wtem przychodzi chłop i zaczyna krzyczeć na mnie. Ja go proszę, żeby miał litość nade mną, a on bierze mi tornister, który złożyłem na stole, i wyrzuca go oknem na dwór w śnieg. Darmo, trzeba było iść za swemi rzeczami. Wyszedłem więc z ciepłej izby - zapłakałem nad takim twardym sercem. Wziąłem tornister i idę dalej na Opatrzność Boską.

Z dała widzę jasne światło w jednej chałupie. Wchodzę, a tu karczma, a w niej pełno naszych oficerów. Pozezuwali buty i grzeją oziębłe nogi przy kominie. Zbliżyłem się też i ja do ognia. Wtem jeden z Francuzów pyta mnie, co mi jest w nogę?

— Ranny, panie, odpowiedziałem mu.

Kazał sobie nogę pokazać. Zaczął nad nią głową kiwać, ale wnet wyciągnął ze swego tłumoczką lekarstwo, nasmarował niem, przywinał aż miło, a nadto dał mi jeszcze kieliszek mały wódki. Był to doktor francuski. Po tym opatrunku rzuciłem się na ławę między drugich i tak szczęśliwie pod dachem przenocowałem.

Nazajutrz ów poczciwy doktor wziął mnie na swoje sanki i wiozł mnie kilka mil, aż się złączyłem z moją kompanią. Już nie Zdzitowiecki, lecz niejaki Świerciakiewicz był naszym kapitanem, a pułkownikiem pewnie Cichowski, który z nami szedł do Rosyi, pod dowództwem generała Ziro. Z kompanią swoją szedłem dalej, choć kulawy, aż do Kwidzyna. Nigdzie nas nieprzyjaciel nie zaczepił.

Z Kwidzyna, poczciwy kapitan, widząc że mam nogę bolącą, zabrał mnie ze sobą do Poznania, dokąd i cała kompania pospieszyła za nami. Lecz nie było czasu leczyć się na nogę, bo co dzień spodziewaliśmy się nieprzyjaciela.

\* \* \*

Z Poznania udaliśmy się do Kistrzyna<sup>84</sup>. Po drodze pełno już było Moskali, z którymi się pod Międzyrzeczem nasi ułani ucierali. Odtąd kręciliśmy się wszędzie. Przyszliśmy do Berlina, a tu miasto nie chce nas przyjąć, ani wpuścić. Przybywamy do Poczdamu - tak samo nam robią. Jużeśmy nawet armaty wytoczyli, by walić do miasta, aleć dano pokój, bo dosyć mieliśmy nieprzyjaciół w polu. Żeby mieć gdzie się oprzeć nieprzyjacielowi, ruszyliśmy do Szpandawy i w niej zamknęliśmy się.

Mogło nas być ze cztery tysiące. Dobywali nas tu Prusacy i Moskale przez dwanaście tygodni, lecz nie mogli nam nic zrobić. Zaczęli tedy puszczać bomby. Spalili nam tym sposobem wszystkie magazyny, nawet prochownię wysadzili w powietrze, przy czem mnóstwo naszych żołnierzy zginęło. Widząc, że się utrzymać nie zdołamy, poddaliśmy się na koniec. Złożywszy wszystkie ładunki, wyszliśmy z bronią ze Szpandawy, ale pod konwojem ułanów moskiewskich, konnopolskimi zwanych, a pruska piechota postępowała za nami o jeden marsz.

Przyszliśmy do Brunszwiku, gdzie było czternaście tysięcy Francuzów. Konwój nasz cofnął się a my, odpocząwszy dziewięć dni w Brunszwiku, poszliśmy do Kassel, a stamtąd do Erfurtu. Tu bawiliśmy dłuższy czas, albowiem mieliśmy strzec, żeby nam nieprzyjaciel tyłu nie zabrał od granicy francuskiej.

Moją nogą okrutnie mi obolała. I nie dziw, bo od Berezyny, gdzie byłem w nią ranny, wśród mrozów, śniegów i ustawicznych marszów raz tylko była w Litwie opatrzoną przez doktora. Poszedłem w Erfurcie do lazaretu. Gdy ją doktorzy zobaczyli, koniecznie chcieli mi ją upiłować, bo już tak źle z nią było. Obmarzła, rozogniła się i już ciało na niej psuć się poczynało. Lecz nie pozwoliłem jej sobie urzynać, tylko żartując z doktorów, odezwałem się:

— Gdzieżbym ja na sądzie ostatecznym szukał nogi? Mam ja do domu bez nogi wrócić? Lepiej niech mi ją kula armatnia urwie, ale ucinąć nie dam.

Udawałem zucha, ale ból cierpiałem wielki, a owymi żartami chciałem doktorom tylko pokazać, że tak źle jeszcze ze mną nie jest. Zaczęli mi ją goić. Nie życzę największemu nieprzyjacielowi takich leków. Bogu dzięki, jednak wygoili mnie. A lubo dziś każdą słotę

---

<sup>84</sup> Mowa tutaj o mieście K o s t r z y ń nad Odrą.

mi ona przepowiada, dosyć, żem wonczas mógł się znowu bić, a i dziś szczudła nie potrzebuje.

Pod Wittenbergiem nad Elbą jużem się znowu bił dobrze. Takeśmy już byli słabi, że z naszych trzech pułków zrobiono tylko jeden. Moskale i Prusacy mieli tu piękny obóz, nawet się okopali od strony miasta. My jednak w nocy na nich uderzyliśmy i takeśmy wpadli na nich niespodziewanie, że udało nam się wziąć kilku oficerów do niewoli. Zrobił się popłoch. Wszystko zmykało co żywo. Noc była ciemna - wtedy się tylko rozjaśniało, gdy ognia dawano. Gналиśmy ich owej nocy ciągle aż do rana. Gdy świtać poczęło, dopiero spostrzegli, że nas tylko garstka. Dalejże tedy na nasze karki! Na górze za borem mieli zatoczone armaty w dobrej pozycji. Jak więc zaczęła grzmocić i prażyć, a potem jak natrą na nas - to aż skóra dziś cierpnie na człowieku, gdy sobie wspomni! Radzi nieradzi musieliśmy się cofać. Dopiero, gdyśmy się zbliżyli do naszego obozu, zaniechali pogoni, a my połączeni ze swymi, odpoczęliśmy dni kilka.

Odtąd ucieraliśmy się na różnych miejscach z nieprzyjacielem przez kilka tygodni, aż nareszcie zwałiliśmy się wszyscy pod Lipsk.

\* \* \*

Pod Lipskiem taka była batalia, jakiej może świat nie pamiętać. Co tam było różnego narodu, to ciężko wypowiedzieć. Taki zaś był huk, że wszystko drżało i wszystko się trzęsło, nawet ziemia z człowiekiem. Jęki padających, świstanie kul, huk armat, odgłos trąb ciągłych i ustawicznych komend - wszystko to przypominało straszny sądny dzień.

Pierwszego dnia biliśmy się zajadle. Nikt nas zgnać nie może. I na flankierach i ogniu plutonowym, i w kolumnach się bijąc, i na bagnety idąc, wszędzieśmy byli górą.

Już mogło być dobrze po południu, gdy do nas woltyżerów przyjechał konno Napoleon ze swoją świtą i kazał nam zabrać dwie armaty, co nam bardzo szkodziły, i uderzyć na flankierów moskiewskich.

Był w pobliżu lasek olszowy i rów głęboki, po części wodą napełniony, a może z pół staja za rowem stały owe dwie armaty. Z lasku i z rowu, gdzie się osadzili jegry moskiewscy, okropnie nas

prażyli, a armaty byłyby nas w naszej pozycji do szczętu zniosły. Wyparować więc ich było trzeba koniecznie, a armaty zabrać. Ruszyły przeto dwie nasze kompanie na komendę samego Napoleona.

Po zaciętej utarczce wyparliśmy naprzód z rowu Moskali, a sami brodząc w wodzie, usadowiliśmy się w nim. Gdy wystrzelili z armat owych, my co ducha z rowu i dalej na nie! Nie pozwoliliśmy już im nabić powtórnie, tylko jak zaczniemy rąbać kanonierów i oddział piechoty, przy nich będący, brać na bagnety, to Moskaliska aż ręce załamywały, wołając: pardon.

Wzięliśmy ich do niewoli, a armaty z radością prowadzimy do naszych. Ale że przez ów rów niepodobna ich było przedostać, skreśliśmy się więc z niemi na bok Lipska, gdzie stała wieś duża. Stu naszych chciało je tamtędy przeprowadzić, a reszta wróciła zaraz do swoich. Gdyśmy już byli blisko owej wsi, a tu wypadają Prusacy, których tam było trzy tysiące, a my o tem nie wiedzieli - i dalej na nas. Zostawiliśmy tedy armaty zdobyte, myśląc jedynie o uratowaniu życia.

Prusacy puścili się w pogoń za nami. My im się dobrze odcinali, ale oni silniejsi liczbą, parli nas ku naszym, do onego rowu. Tu o małym nie zginął. Skoczyłem bowiem w rów, by przejść na drugą stronę, a tu huzar stoi na brzegu i pali do mnie, jakby do psa, o dwa kroki. Chciał mnie trafić w głowę, lecz kula urwała mi tylko kawałek ucha. Ja, choć ogłuszony i krwią zalany, palnąłem ze sztucera, wyszedłszy z rowu i zabiłem na miejscu szwernuta. Jeszczem i dwóch innych uśmiercił, ratując siebie, po czem dostałem się szczęśliwie do swoich.

Przybywszy na plac boju, gdy już się ściemniać zaczęło, ujrzałem obok siebie więcej umarłych jak żywych. Ale ranę moją podwiązałem chustką i biję się dalej, i dobrze mi się biło, bom nie słyszał tak bardzo huku. Wtem przybywa adiutant od sztabu do naszego kapitana Świerczakiewicza i pyta go:

— Kto pierwszy z kompanii dopadł owych dwóch armat?

Mogłem to słyszeć, bom był blisko kapitana. On wymienił między innymi pewno i mnie, gdyż nie upłynęło może ani dwóch godzin, a tu przybywa tenże sam adiutant i oddaje kapitanowi naszemu jakieś pismo. Wkrótce zbliża się do mnie nasz kapitan i oddaje mi pismo, mówiąc:

— Daleki, tu masz pismo na krzyż, schowaj je dobrze, a jak się tylko trochę uskromimy, to go dostaniesz.

Wziąłem owo pismo i włożyłem w kaszkiet z radością i biję się dalej. Ale wnet uczułem wskutek rany mojej tak okropne rwanie i szum w głowie, iż prawie przytomność traciłem.

Idę więc, aby trochę odpocząć do miasta samego - Lipska. Przychoǳę na rynek, a tu zastaję na placu pod gołym niebem tysiące rannych i kalek.

Położyłem się przy nich na bruku, drżąc od bólu i zimna. Gdy tak leżę na rynku pod murem jednej kamienicy, słyszę nagle, jak ogromnie ostro rozmawiają z sobą na balkonie Napoleon i król Saski. Ale nie mogłem ich rozumieć, bom był prawie głuchy.

Okolo północy felczer opatrzył mi ranę i obwiązał lepiej głowę.

Nazajutrz wczesnie już wrzała znowu bitwa. Z jednej strony Lipska walczył książę Józef Poniatowski, dalej na różnych punktach Francuzi. Mnie kazano roznosić ładunki, lecz mi się to wkrótce sprzykrzyło, bo pomyślałem sobie: kiedy zginąć, to zginąć z bronią w ręku. Poszedłem więc do swoich bić się razem z nimi.

Przed wieczorem, nie wiem która mogła być godzina, mosty porzywano i Francuzi rejterować poczęli.

Oparliśmy się o pół mili z drugiej strony Lipska pod wodnymi młynami. Zaczęto właśnie obliczać nasze straty, gdy nagle odebraliśmy wiadomość, że książę Józef Poniatowski utonął. My biedni Polacy, spuściliśmy głowy, bo każdy żałował tak dobrego wodza.

— Oj źle - mówiliśmy sobie - kiedy już tacy giną!

Ciągle rejterując, a bijąc się prawie ustawicznie, przyszliliśmy do Frankfurta nad Menem, później do Moguncyi nad rzeką Ren.

Najpierw przepawiły się gwardyje Napoleońskie, za nimi armaty i bryki, a my zdążali do wody jak mogli. Widzimy, że niektórzy nasi od bryk pędzą ku nam przerażeni. Wtem wpadają zaraz na nas Moskale, Prusacy, z przeciwnej strony konnica austryjacka, nawet i Szwedów widzieliśmy. Tak obskoczeni uszykowaliśmy się czem prędzej do boju i biliśmy się z rozpaczą prawie, póki ładunków i sił starczyło.

Pod wieczór już było niepodobieństwem dalej się bronić, bo nam przybrało ładunków i sił, a nieprzyjacielowi coraz więcej przybywało wojska na pomoc.

Zginęło nas dużo i bylibyśmy pewno wszyscy zginęli, gdybyśmy się nie byli poddali, a śmierć nasza też by Francuzom nie była pomocą. Zażądaliśmy tedy pardonu. Dano nam go i zabrano nas w niewolę, rozdzielwszy nas jeńców na trzy oddziały. Jeden zabrali Moskale, drugi Prusacy, a trzeci oddział zabranych, do którego ja należałem, dostał się w niewolę austrijacką.



## VII.

### Niewola austrijacka



Niewola w Hiszpanii ciągle mi stała przed oczami, gdy nas prowadzono przed generała austriackiego od konnicy. Już wtedy było zimno, bo widzieliśmy biały śron na ziemi i śliwki pod drzewami, co już same były pospadały. Największą przeto mieliśmy obawę, aby nas do naga nie obdarto, jak w Hiszpanii. Tam przynajmniej było ciepło, a tu bylibyśmy z zimna pokarkli.

Gdyśmy stanęli przed generałem, poklekniliśmy wszyscy, błagając, żeby nas obdzierać nie kazał. On mruknął sobie pod nosem jakąś klątwę na nas, a potem powiedział: „Ist schon gut”, to jest: Już dobrze. - Ale wnet zaczęto nas rewidować. Odebrali nam chustki, fajki, zegarki i inne rzeczy. Przynajmniej zostawiono nam mundury, ale je wprzód obmacali wszędzie; kazali nam się rozebrać, a szukali pod pachą, w trzewikach, w spodniach pieniędzy, a co znaleźli, to zabrali. Mnie wzięli niejedną rzecz drogą, ale najwięcej żał mi było, że mi wzięli kaszkiet; a z nim i owo pismo na krzyż, którym był dostał w bitwie pod Lipskiem. Prosiłem ich bardzo o nie, ale mi go dać nie chcieli. Jednego talara, gdy mnie rewidowano, ukryłem w ręce, ścisnąwszy dłoń i podniósłszy rękę, a w niej talara do góry.

Noc spędziliśmy na dworze pode wsią. Leżeliśmy jak bydło, pod jakimś płótem z agrestu i berberysu, bom czuł kolce, a widział rano czerwone jagody. Ileśmy ucierpieli tej nocy zimna, darmo opowiadać.

Nad ranem wpędzili nas do jakiejś wielkiej izby ogrzanej. Żołnierze stali u drzwi na straży. Tu o małym nie zginął marnie. Dostawszy się bowiem z zimna do ciepłej izby, taka mnie opadła niemoc, że myślałem, iż zostanę na miejscu. Żeby więc zaczerpnąć świeżego powietrza, spieszę do drzwi, a tu żołnierz jak mnie uderzył bagnetem w piersi, padłem przez próg i zemdlałem. On myślał, że chcę uciekać. Szczęściem, że bagnet pośliznął się po guzikach od mego munduru, inaczej byłby mnie przeszył. Przyszedłszy do siebie, uczułem ból w piersiach i ujrzałem lekką ranę, która się jednak snadno

zagoiła. To mnie przecie najwięcej bolało, że uniknąwszy kuli w tyłu bitwach, teraz jako więzień w taką dostałem się poniewierkę, że mnie lada żołdak gburowaty popychała i szturchała.

Kazano nas potem transportować dalej. My, bojąc się o naszą odzież, prosiłiśmy znów owego jenerała, aby nam był łaskaw dać marszrutę z wyraźnem poleceniem, żeby nas nigdzie nie oddzierano. Dostaliśmy ją. Tak tedy ruszyliśmy do niewoli, ale dokąd nas poprowadzą, tego nam nie powiedzieli.

Pod mocną strażą przeszliśmy cały kraj bawarski. Kto zna jak gorzki chleb niewolnika, ten nie będzie się dziwił, że miłe zachowałem wspomnienie o tym kraju. Kilka razy się bowiem zdarzyło, że gdyśmy głodni i strudzeni przybyli do jakiego miasta na nocleg, obywatele, dowiedziawszy się, cośmy za jedni, brali nas dobrowolnie za pozwoleniem straży naszej do siebie na kwatery. Tu człowiek dostał wybornego jadła i picia, przespał się wygodnie i na chwilę zapomniał o biedzie. Czasem dawali nam i parę groszy na drogę.

Niechże Bóg miłosierny tym chrześcijańskim duszom ich uczynność i dobroć nagrodzić raczy, jeśli nie w tem to w przyszłym życiu! - O Bawarach mogę tylko dobrze myśleć i mówić.

Przyprowadzono nas później do miasta czeskiego Eger, które jest małą forteczką. Stąd zaprowadzono nas do Pragi, gdzieśmy sześć dni i tyleż nocy bawili. Rozkwaterowano nas po różnych miejscach.

Siedmiu nas, to jest czterech Polaków i trzech Litwinów, zamknięto w jakichś ogromnych stajniach, gdzieśmy prosto na gnoju siedzieli, nudząc się okropnie i cierpiąc wszelki niedostatek. Nikogośmy nie widywali, prócz jednego Niemczyka, który trochę kiepsko mówił po polsku, a który co dzień przychodził lampy zapalać i gasić, dlaczegośmy go też lampiarzem, a czasem lampartem nazywali.

Ja raz odzywam się do niego z narzekaniem, żeśmy tak beczczynni i nieszczęśliwi. A on mi na to:

— Kto ma Geld, może sobie pomóc.

— A skądże mieć pieniądze - rzekłem, kiedy wasi ze wszystkiego nas obdarli i tylko nam tę biedną odzież zostawili.

To rzekłszy, poszedłem do moich kamratów, którzy nieco dalej na słomie leżeli. Jeden z nich mnie pyta:

— Cóżes ty gadał z tym lampartem?

— Powiedziałem mu jak było.

— Idź Jędrzeju, rzekł jeden z Litwinów, i spytaj, ile on żąda za nasze uwolnienie?

— A skądże weźmiemy pieniądze? Ja już nie mam ani grosza przy duszy, odpowiadam mu.

— O to nie pytaj, ja mam zaszyte w mundurze i za was wszystkich zapłacę.

Pobiegłem więc do lampiarza, który zdawał się czekać u drzwi na mnie i po cichu odzywam się do niego:

— Tyś pewnie poczciwy człowiek, ulituj się nad naszą biedą. Lata całe biliśmy się po różnych krajach, ucierpieliśmy wiele, a dziś tak jęczymy w niewoli! Dopomóż nam do ucieczki, a my ci zapłacimy.

— A co mi dacie?

— Dalibyśmy ci wiele, aleśmy biedni. Co możemy, to ci damy. Dostaniesz po trzy talary za każdego z nas, skoro nas oswobodzisz.

— Gut, odpowiedział.

Tej samej nocy obiecał nas oswobodzić, i to zaraz z wieczora, abyśmy przez całą noc mogli kawał drogi zrobić.

Wieczór był ciemny i wicher szumiał jesienny. My słuchamy, rychło się drzwi otworzą i nasz lampiarz przyjdzie, a tu go nie wiadać. Bije godzina dziewiąta, a tu go nie ma.

Słyszymy dziesiątą, on jeszcze nie przychodzi. Strach nas, czy Niemiec nas nie zdradził. Aleć nie.

Wkrótce bowiem przybył i zabrał nas z sobą. Najpierw otworzył jakieś drzwi, co się zdawały murowane - potem poprowadził nas przez jakieś sklepienia i gmachy, aż nareszcie wyszliśmy pod gołe niebo.

— A dokąd teraz? pytamy.

— Musicie najpierw, odrzekł, do mego domu się udać, gdzie zanocujecie, boć nie wiecie drogi, łatwo byście więc wpadli w ręce straży. Jutro wczas wskażę wam dalszą drogę.

Noc była ciemna. Usłuchaliśmy jego rady. Szliśmy przez długi most, na którym stała figura św. Jana Nepomucena, a minawszy wiele ulic i kątów, dostaliśmy się nareszcie do domu naszego przewodnika. Wprowadził nas do izby, kazał nagotować kapusty i kartofli, ale w pierw żądał od nas obiecanej zapłaty.

Litwin wyliczył mu należytość, po czem, zjadłszy wieczerzę, udaliśmy się na spoczynek, ciesząc się, żeśmy wolni. Nad ranem budzę mego sąsiada i mówię:

— Coś nasz gospodarz zasnął, bo dotąd nie przybywa!

Ale sąsiad przewrócił się na drugi bok i chrapie w najlepsze. Ja trochę niespokojny wstaję i chcę drzwi otworzyć, a tu drzwi zaryglowane.

Budzę czem prędzej kolegów i powiadam, żeśmy na rygiel zamknięci. Zaczynamy się wszyscy lękać, aleśmy się wreszcie na to zgodzili, iż pewne gospodarz przez ostrożność nas zamknął, żeby nas przypadkiem nie odkryto. Już się dzień był zrobił - na ulicy słychać hałas i turkot, a my czekamy i czekamy, a gospodarza jak nie ma, tak nie ma.

— Żle z nami, mówię - mnie dusza coś przepowiada, że to nie-dobrze będzie z nami.

— Co tu robić? mówią inni - drzwi wysadzić lub wołać o ratunek i wyznać, że zdrajca nas oszukał?

— Ale może on niewinny, odrzekłem dalej, któż wie, co go zatrzymało? Może to na nasze dobro, że on tak długo nie przychodzi.

Radzi nieradzi czekamy, siedząc zamknięci, cicho jak ptaszki przelęknione w klatce.

Co ja miałem wtenczas do słuchania, to niech Pan Bóg broni! Wszyscy mi wyrzucali, że to moja sprawka, że licho mnie skusiło do tej ucieczki. Ja spuściłem głowę i milczałem trochę, a potem odezwałem się do kolegów:

— Kto wie, czy mi nie będziecie dziękowali za tę sprawkę! Nie trzeba ludzi naprzód źle sądzić.

Uspokoił się nieco. Wtem też skrzypnął zamek i drzwi się do naszej izby otwały. Zrywamy się wszyscy jak oparzeni, witając z radością naszego lampiarza. Ale jakież było nasze zdziwienie, gdyśmy za nim we drzwiach ujrzeli wartę. Nim który z nas zdołał usta otworzyć, już lampiarz zameldował:

— Jesteście deztertery i jako takich na policyi was zameldowałem!

— Dobrze, mówię, ale i tobie to na sucho nie ujdzie, boś ty pierwszy podał myśl do ucieczki - wziąłeś pieniądze, a teraz nas tak haniebnie zdradziłeś. Podłym jest każdy zdrajca, a więc i ty. Ale poczekaj, niech nas spotka teraz co chce, my powiemy coś ty za ptaszek!

On krzyknął na wartę i kazał nas wyprowadzić. Z wielkim strachem przyszliśmy znowu przed ową stajnię. Tu zastaliśmy jakiegoś

oficera, który wyprawiał jeden z naszych oddziałów do Cieszyna. My więc padamy na kolana i prosimy, żeby się zlitował nad nami i pozwolił iść razem. Widać, że lampiarz miał strach okropny, żebyśmy go nie oskarżyli, bo sam prosił bardzo za nami. Oficer, jakaś poczciwa dusza, przystał na naszą prośbę.

Wszyscyśmy więc razem wyszli z miasta nader szczęśliwie, że nam uszło na sucho, tylko ów poczciwy Litwin żałował swych dwudziestu jeden talarów, które za nas zapłacił.

Stosownie do marszruty naszej szliśmy przez Morawy do Śląska, to jest przez miasto Berno i Ołomuniec do Cieszyna.

W tym marszu dużośmy biedy zażyli. Cesarscy srogo się z nami obchodzili. Raz tylko na dzień trochę zupy nam dawano, chleba i mięsa nigdy. Takeśmy też byli głodni, żeśmy w drodze brali z pola główki surowej kapusty i ćwikły i gryźliśmy po trosze, by głód zaspokoić jakokolwiek.

Pamiętam jednak, iż raz przecie w Morawach dobrzem się pożywił i uraczył. Dnia jednego bowiem przyszliśmy do jakiejś wsi na nocleg. Zaprowadzono nas do majątnego gospodarza, który miał rozległe i porządne budynki. Widać też u niego był dostatek wszystkiego.

Przyszedłszy z drogi, usiedliśmy na ławce przed domem. Było to w sam dzień świętej Katarzyny. Siedzimy na dworze, zmęczeni i głodni. Zębami szczękamy z zimna, a nikt nam nic nie daje, ani do izby nie prosi ciepłej.

Gdybyśmy byli wolni, byłibyśmy sami weszli choć i gwałtem, ale w niewoli, trzeba było człowiekowi cierpieć. Tymczasem w izbie światło zapalili, bo już się zaczęło zmierzchać.

Zbliżam się do okna i patrzę. Co za miły widok. Na wielkim stole, na białych obrusach zastawione rozliczne jadlo i napoje. Były tam różne ciasta i pieczenie, a we flaszkach piwo i wino.

Połknąłem ślinkę i oblizywałem się kilka razy, ale chcąc uniknąć niepotrzebnej oskomy, wróciłem na ławkę do swoich kolegów i powiadam im, com widział. Jeszczem nie był skończył mego opowiadania, gdy przybyło kilku sąsiadów czy przyjaciół, śnać zaproszonych. Weszli do izby, a my jak siedzimy, tak siedzimy. Aliści wychodzi sama gospodyni i mówi do mnie:

— Sem, panoczku, dziś święto mojej patronki, prosimy was wszystkich do kompanii.

— O anielsko kobieto, pomyślałem sobie, tego nam dwa razy nie powiadaj!

Stanęliśmy wszyscy jakby do ataku. Każdy z nas, choć bieda przygnieciony, wyprykował się jak mógł i wpakowaliśmy się do izby.

Trzeba było widzieć nasze miny i wesołe twarze! Każdy z nas ostrzył zęby, a wdzięcznie się uśmiechał do nakrytego stołu i węża podkręcał, a niecierpliwił się, że jeszcze nie może jeść. Gospodarz bowiem wprzód wypytywał każdego z nas, skąd jesteśmy, cośmy za jedni, gdzieśmy się bili.

Gdy się o wszystkim dowiedział, prezentował nas swoim gościom, a dopiero potem posadził za stołem. Jedliśmy i pili do upadłego. Bawiliśmy się gracko do północy, bo każdy z nas miał co opowiadać, a przy dobrym apetycie jakoś i pamięć się odświeżyła i rozum zaostrzył. Zapomnieliśmy wonczas, żeśmy w niewoli.

Gdy goście się rozeszli, przyniesiono nam słomy, a dobrze utraktowani, spaliśmy słodko aż do rana.

Pocziwi Morawianie! Niech im Pan Bóg we wszystkim za to błogosławi! Ale są prawda i źli ludzie między nimi.

I tak, gdyśmy się zbliżali do Cieszyna, dużo nam się naurągali. Mianowicie już blisko samego miasta, dokąd jechali właśnie na jarmark, drwili z nas głupcy i z upadku Napoleona, wołając na nas z przekąsem:

— No, głupie Polaki, gdzie teraz macie waszego boha!

— Oj, pomyślałem sobie, jużście widać zapomnieli, jak wam skórę wygarbował! Dziś jesteście wielkie zuchy, ale co by było, gdyby się znowu pokazał.

W Cieszynie zabawiliśmy niedługo, a stamtąd transportowano nas na Podgórze, stąd zaś do Krakowa.

W Krakowie był wonczas gubernatorem Płatów, rosyjski generał. Nie bez obawy weszliśmy do miasta, bośmy się lękali, czy Moskale nie będą nas znów poniewierać.

Stawieni przed generała i wyegzaminowani, oddaliśmy nasze papiery, czekając, co dalej będzie? Ale Bogu dzięki, obchodzono się z nami po ludzku. Wyznaczyli nam wygodne mieszkania w koszarach i dawali racyje chleba i mięsa jak swoim.

Czwartego dnia wołają nas do gubernatora. Idziemy z wielkim strachem, co to będzie z nami? A tu generał odzywa się do nas ła-

godnie: „Dzieci, pójdziecie do domu” i oddaje nam nowe marszru-ty. Podziękowaliśmy, potem poszliśmy do miasta.

Ośłupiałem prawdziwie w pierwszej chwili, gdym usłyszał te wyrazy „do domu”. To słówko „do domu” ciągle mi brzmiało w uszach. Nie wiedziałem, czy się mam cieszyć, czy płakać, czułem się wolny, a jednak chodząc po ulicach Krakowa, zdawało mi się ciągle, że ktoś z nabitą bronią za mną chodzi.

A dopiero pożegnanie nasze, jakie było rzewne! Serce nam prawie pękało od żalu, gdyśmy się rozstawali. Niektórzy bowiem z tych towarzyszków niewoli byli ze mną w Hiszpanii. W obcym kraju uko-chałiśmy się jak bracia. Jeden drugiego wspierał jak mógł w każ-dej potrzebie. A teraz mieliśmy się rozstać na zawsze i to jako zwy-cięzeni, niewolnicy - my, którzyśmy tyle razy zwyciężali.

— A więc, mówiliśmy do siebie, więc wszystko się skończyło? Ach, jaki smutny koniec! Żal się Boże! Po tylu latach cierpień, nie-doli i poniewierki widzieć się samotnym i opuszczonym na świecie jako żebrak i kaleka wracać do swoich!





## Powrót do domu



Po smutnem pożegnaniu, ruszyliśmy każdy w swoją stronę. Ja w starym płaszczyku francuskim, z torbą na plecach i z kijem w rękę, jako biedny pielgrzym szedłem do Częstochowy. Radowało się serce moje, że tu będę mógł przynajmniej podziękować Najśw. Pannie za świętą Jej opiekę nade mną, której się zawsze polecałem, nosząc od pierwszej młodości szkaplerz.

Gdym ujrzał z dala wysoką wieżę tego cudownego miejsca na Jasnej Górze, ucieszyłem się bardzo i ruszyłem prędkim krokiem, jakby mnie coś unosiło. Boć też chciałem się po tylu latach szczerze wypowiedzieć i z Bogiem pojednać.

Przybyłem do Starej Częstochowy, miasteczka u stóp Jasnej Góry położonego, jeszcze przed wieczorem. Czem prędzej biegnę na owo miejsce cudami słynące. Ale jeszcze w Starej Częstochowie będąc, spotykam człowieka i pytam go, czy będę teraz mógł oglądać cudowny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej?

— O nie! odpowiada mi tenże, cały klasztor pełen jest wojska rosyjskiego. Załoga ta nikogo nie wpuszcza do klasztoru!

— Ale mam marszrutę od rosyjskiego generała z Krakowa - odrzekłem. Będą więc wiedzieli, kto jestem.

— Moskale nie patrzą na pismo, bo u kozaka pismo nic nie znaczy, jeno bat. - Może żołnierza jeszcze sponiewierają.

Na taką odpowiedź, mało myśląc, ukląknę pod gołym niebem, oddałem z dala pokłon Najświętszej Pannie, zmówiłem pobożny pacierz na Jej cześć i miękko mi się jakoś zrobiło na sercu i lzy mi z oczu jak groch na ziemię padać poczęły.

Tysiące tysięcy pomyślałem sobie spieszą tu do tej Królowej naszej, Pani nieba i ziemi, i odchodzą pocieszeni, a ja nieszczęśliwy tułacz pociechy tej doznać nie mogę

Powstałem i poszedłem na nocleg do Starej Częstochowy.

Nazajutrz, wstawszy rychło i pokrzepiwszy się nieco, ruszyłem dalej ku granicy.

Za miastem, gdy już i Jasna Góra, i klasztor cudowny na niej zniknąć mi począł przed oczu, upadłem na otwartym polu jeszcze raz na kolana, oddałem pokłon Najświętszej Pannie i podziękowałem Jej serdecznie jeszcze raz za opiekę nade mną podczas tylu lat mej żołnierki.

Przebywszy granicę, zaszedłem do Odolanowa, stąd do Kobylina, a z Kobylina szedłem do Kołaczkowic, miejsca mego urodzenia.

W samo święto Najświętszej Panny Gromnicznej, gdy ludzie szli z kościoła po nabożeństwie, stanąłem w Dłoni, gdzie miałem brata. Nie wiedziałem, gdzie są moi, czy żyją jeszcze lub nie, wstąpiłem więc do gościńca, aby się dowiedzieć. Krzepiąc ciało moje posiłkiem, nie daję się zaraz poznać gościnnemu, z którym się niegdyś dobrze znałem, ale wypytuję się o tego i owego. Gościnnego zdziwiło to, że ja obcy tylu ludzi we wsi znam. Pyta mnie więc, com za jeden i dokąd idę? Nie chcąc kłamać, dałem mu się poznać. Mile mnie przywitał i posłał zaraz po brata mego, który tam był borowym.

Przyszedł brat, ja powstałem i chciałem mu się rzucić na szyję. Ale gościnnie, który zarazem był sołtysem, mrugnął na mnie oczami, a do brata rzekł:

— Weźmiecie tego żołnierza dziś na kwaterę i jeszcze mu dziś musicie dać obiad, a potem kolację, nocleg i jutro śniadanie.

— O Boże, odpowiada brat, czternastu gospodarzy macie we wsi i do mnie żołnierza na kwaterę dajecie!

— Nic nie pomoże, musicie go wziąć!

Począł się brat kwasić i krzywo na mnie spoglądać. Aleć mnie się też łzy w oczach zakręciły. Nie mogłem się już dłużej wstrzymać i rzekłem do brata:

— Więc to takeście już zapomnieli o bracie waszym Jędrzeju, że już mu ani kawałka chleba dać nie chcecie?

Na te słowa moje zbliżył się brat ku mnie, by mi się lepiej przypatrzeć, a potem głośno zapłakał i zawołał:

— Toś ty? My cię już dawno opłakiwali, a ja co dzień modliłem się za twą duszę!

Uściskaliśmy się serdecznie i chwilę płakaliśmy razem nad sobą w milczeniu.

— A matka gdzie jest? pytam go potem.

— Matka w Kołaczkowicach, ale biedna, bo ojczym wyzuł ją z majątku naszego. Gospodarstwo nasze poszło w obce ręce, odrzekł brat.

- Żyje ojczym?
- Już umarł, pewnie tak rychło dla swego pijaństwa.
- A siostry gdzie?
- Obiedwie już nie żyją.
- A szwagier?
- Już też w ziemi!
- A brat Bernard?
- On służył przy Legii Nadwiślańskiej, bo wzięli go niedługo po tobie do wojska i jak nas głuche doszły wieści, zginął gdzieś w Hiszpanii.
- A drugi brat, Jan, gdzie?
- Jego po powrocie z wojska pruskiego wzięto do wojska francuskiego i zginął podobno w Moskwie.
- O Boże! Więc to już tylko matkę i ciebie zastałem przy życiu.

\* \* \*

Zabawiwszy kilka dni u brata, udałem się do matki do Kołaczkowic.

Jakie było nasze przywitanie, każdy łatwo odgadnie, kto wspomni, że przeszło dziewięć lat tułałem się na wojnie, a matka o mnie nic nie wiedziała - co więcej, że trzech nas synów miała u wojska, a o każdym głuche ją tylko dochodziły wieści, że już nie żyje.

Mnie najbardziej to korciło, że wracam do domu z gołemi rękoma, nie mogąc ani sobie, ani matce nic dopomóc, i że gospodarstwo nasze przez niepocziwe życie ojczyma - Panie świeć nad duszą jego, jeśli tego godzien - w obce poszło ręce, a my biedni wraz z matką zostaliśmy.

Podziękowawszy Bogu za wszystkie łaski Opatrzności, których doznałem wśród niebezpieczeństw, poszedłem na służbę do Krzekotowic, gdzie się wkrótce ożenił z pocziwą kobietą, którą mi Bóg przed sześciu laty zabrał, a nad której duszą oby świecił światłością wiekuistą. Później dostałem się w dobra Chociszewickie. Tu z różnego pieca chleb jadłem, aż nareszcie na stare moje lata zostałem stróżem przy pałacu w samych Chociszewicach. Nie zapomnę nigdy dobroci, jakiej tu od mego państwa doznałem. Byli bowiem dla mnie tak łaskawymi, że nie tylko mnie nieraz w starości z własnej woli wsparli, ale nawet ich własne dziecko do chrztu trzymałem.

Z ich łaski siedzę sobie dziś spokojnie przy synu, którego mi, nie szcędząc wielu kosztów, pomogli wychować. Oby im Bóg stokroć wynagrodzić raczył za ich dobroć!

Na pamiątkę owych wojen, w których byłem, dostałem medal Świętej Heleny. Pisałem także dwa razy do Paryża o krzyż, na który dyplom w bitwie pod Lipskiem dostałem, ale że to wśród bitwy pewnie nie mieli czasu mnie zapisać w akta wojskowe, i że ów dyplom zabrali mi Austriacy, gdy mnie wzięli do niewoli, nie odebrałem przeto dotąd żadnej odpowiedzi.

Mniejsza zresztą i o krzyż, bo i bez niego mogę duszę zbawić. Dość, że miłem są dla mnie wspomnieniem owe lata ubiegłe. Gdy upał słońca latowego mi dopieka, pomyślę sobie: goręcej było w Hiszpanii. Gdy do sytości mogę się teraz z łaski Boga posilić, zawsze mi przyjdzie na myśl głód mój w niewoli hiszpańskiej. Gdy mi wino chwala: inne się to piło, powiadam, u Don Sebastyjana w Santofe, albo Maladze! A gdy wśród śnieżnych zamieci, szarug zimowych, albo ostrego mrozu siedzę w ciepłym pokoju, o jak mi dobrze mówię sobie, inaczej to było pod Berezyną i w Moskwie! Nieraz też westchnę nad losem towarzyszków, poległych, błogosławiąc Boga, że mi pozwolił przywlec kości na ziemię ojczyzną!

## SPIS ROZDZIAŁÓW

OD WYDAWCY . . . . .	3
PRZEDMOWA . . . . .	3
I. Pobór do wojska . . . . .	5 - 6
II. Wojna z Prusami i Moskwą . . . . .	7 - 11
III. Rewia na Błoniu pod Warszawą i marsz do Paryża i Hiszpanii . . . . .	13 - 18
IV. Wojna hiszpańska . . . . .	19 - 46
V. Niewola hiszpańska i angielska . . . . .	47 - 54
VI. Wojna z Moskwą . . . . .	55 - 70
VII. Niewola austriacka . . . . .	71 - 77
VIII. Powrót do domu . . . . .	79 - 82

\* \* \*

Na płaszczyźnie jakiejś wielkiej przyszło niezadługo potem znowu do bitwy, ale tak strasznej, że w życiu okropniejszej nie widziałem, choć przecie w Hiszpanii codziennie prawie biliśmy się i niejedną wielką bitwę stoczyliśmy. Moskale stali jak mur.

Strzelaliśmy do nich bezustannie całymi kolumnami, a przecie każdy z nas umiał się ze sztucerem obchodzić i pewno na próżno rzadko kiedy strzelił, jednakowoż Moskale ani rusz. Grały armaty nasze, że aż strach, a na holenderską naszą artylerję mogliśmy śmiało liczyć, że nie chybia. Moskale mimo to stali jak mur i nie było widać, żeby jakikolwiek wyłom był zrobiony w ich kolumnach.

— Darmo dzieci, mówił komendant nasz Ziro, przestańmy się bawić, Moskałom widać ciągle nowe przybywają posiłki. Wieczór już nadchodzi, a my z nimi nie skończymy. Pospieszmy się, by dziś skończyć; pokażemy im, żeśmy byli w Hiszpanii. - Dalej na bagnety

Włosy na głowie stawają, gdy sobie wspomnę owo żganie. Konnica z konnicą rąbała się na przebój, a my piechota równocześnie braliśmy na bagnety jednego Moskala po drugim. Jużemy od hałasu nie słyszeli komendy wcale, jeno każdy uwijał jak mógł. Ja sam oczy zamknąłem, bo mi też już i pot je zalewał, i patrzeć nie mogłem na takie mordowanie ludzi, a żgałem, co mogłem. Krew się lała strumieniami.